Stron 8

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 25 zł.

W NUMERZE:

J. KOPROWSKI — Nowa Łódź (fragmenty poematu). T. ORLEWICZ — Ubożenie farmerów w St. Zjedn.
J. GŁAŻEWSKI — Spółdz. prod. w Bułgarii. K. MICHALIK NEDELKOVIĆ — Drobnomieszczańska epopea.
K. WYKA — Konserwatorzy nędzy galicyjskiej. S. SANDLER — Wobec socjalizmu. (o A. Świętochowskim).
J. WACZYŃSKI, W. UDALSKI, R. JĘDRASZCZYK — Wokół epiki. B. CIRLIĆ — Recenzja z książki Wazowa.
B. CHĘCIŃSKI — Praktyka Klubu „Przełom". T. GICGIER, Z. KONICKI, E. SIEKOWSKI — Wiersze.
T. SZEWERA — Notatki o skupie zboża. L. KOSINIAK, J. JELONEK — Listy do redakcji.

wieś

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII — Warszawa, dn. 29. X. 1950 r. — Nr 43 (274)

Biblioteka Instytutu Bałtyckiego w Gdańsku

Cw 9037



P. Gołubow — Plakat — (1950)

BRONISŁAW POLETUR

HISTORIA JEDNEGO KOŁCHOZU

Nie! Nie płaczą dzieci biedoty w powiecie talińskim, nie pomstuje na złą dolę tamtejszy wieśniak i nie głodzi się jego najbliższa rodzina.

A jednak?...

Toż sam Włodzimierz Iljicz zapewniał, że biedota wiejska nawet w wypadku obdzielenia jej dużą ilością ziemi jest skazana na smutny los nędzarzy w wyniku braku narzędzi uprawy nowozdobytej ziemi, których kosztów nie jest w stanie wszak pokryć. Nie inaczej też się działo w jednej ze wsi w Talnym na Ukrainie (Chersonszczyzna).

Zwiększenie stanu posiadania ziemi nie było bynajmniej równoznaczne ze zwiększeniem się dobrobytu. Ze ślepej uliczki w jaką wpędził biednych wieśniaków indywidualny system gospodarki rolnej, wyprowadziła na szeroki trakt, wiodący do dobrobytu, a nawet zamożności garść społeczników z emigrantem besarabskim, Teodorem Dubkowieckim na czele *).

„BĘDZIEMY WSPÓLNIE PRACOWALI — I WSPÓLNY BĘDZIE PRACY PLON"...

Teodor Dubkowiecki wyszedł z dna nędzy besarabskiej i gdy dziedzic płacił fornalom 25, bądź 15 kopiejak dziennie (!) w zależności od wieku — nieszczęsny dzieciak w czasie przydziału pracy stawał na kamieniu osłoniony plecami matki, by wydać się „dorosłym" i zasłużyć na wyższą stawkę w związku z morderczą jak na siły dziecka — pracą.

Po różnych perypetiach, m. in. w zażartych walkach z wrogami rodzącego się w Rosji nowego świata sprawiedliwości społecznej, dostaje się na ukrainę, jako emigrant z opanowanej przez siły kapitału ojczyzny. Tu korzysta z dobroczynnych skutków reformy rolnej, która zgodnie z cytowanymi tu poglądami Lenina nie była w stanie nasycić potrzeb biednych chłopów.

— Złote masz ręce bracie!... — kiedy zaczniesz budować chatę dla siebie?... Wciąż dla ludzi i dla ludzi — a dla siebie?...

Tak przygadywał młodzieńcowi jeden z przyjaciół.

— Nie myślę o własnej chacie. Nie potrzeba mi... o czym innym myślę. Myślę o wspólnym domu. Na wspólnej ziemi.

Koncepcja Dubkowieckiego była jasna i przejrzysta. Chłop biedny nie wzniesie się na wyższy szczebel dobrobytu, wzrost jego stopy życiowej nie zostanie osiągnięty nawet w wypadku wzrostu stanu posiadania ziemi, gdyż nie stać go na odpowiednie narzędzia do uprawy zwiększonej ilości ziemi. Trzeba więc ziemię uczynić własnością wspólną, zbiorową i gromadnym wysiłkiem dokonać zakupu niezbędnych narzędzi, nieosiągalnych w ramach wysiłku indywidualnego w granicach środków rozporządzalnych jednostki. Tak myślał i może nie wiedział o tym, że analogicznie myśli i głosi Lenin i Stalin, mózg i serce rodzącego się nowego porządku i ładu społecznego.

Myśl szybko pochwyciła gromada wiejska Talnoje, — ale niezwłocznie wyłoniły się trudności i przeszkody.

PRZESZKODY!... PRZESZKODY!...

Wrogiem Nr. 1 pierwszej ukraińskiej spółdzielni produkcyjnej w Talnym byli kułacy, czyli bogacze wiejscy. Czegóż by oni nie wymyślili w pasji paszkwilanckiej?... Nie omieszkali nawet wykorzystać przypadkowego jak tu zabicia przez piorun teścia Dubkowieckiego (oczywiście znak ostrzegawczy niebios), nasłali prowokatora — rozbijacza Orłowa pod pozorem członka „Ula i pszczółki" (pierwotna nazwa placówki) rozsadzającego od wewnątrz kolektyw, był nawet wypadek podpalenia. To też niewesoło zapowiadały się losy kołchozu w dobie jego narodzin. Liczba członków stopniała do 6 rodzin, siać trzeba było ręcznie. „Majątek" jeszcze przed kryzysem spółdzielni składał się „z 3 par koników, 3 pługów, 6 bron i 2 wozów". Obecnie ocalały z tego tylko 3 konie i... jedna krowa.

PRZESZKODY SĄ PO TO, ABY JE ŁAMAĆ

Ale „zapał tworzy cudy" — pozatem przychodzi z pomocą (w sile pociągowej) formacja wojskowa oraz miejscowy Komitet Biedoty Chłopskiej (ziarno i inwentarz). Poważnym zastrzykiem, wzmacniającym osłabły organizm spółdzielni był dopływ świeżych sił (koło 20 komsomolców). To było w roku 1923, Rok 1924, rok pięknego urodzaju przyniósł wpływy, z których 25 proc. obraca spółdzielnia na fundusz społeczny.

Pozytywne rezultaty pracy otwierają jej kredyt w Kijowskim banku rolnym. Pierwszą wydatniejszą inwestycyjną „Zdobyczy Października" (nowa nazwa spółdzielni było nabycie traktoru, ułatwione przez zdobycie możliwości kredytowych i wyniki urodzaju.

Dubkowiecki uczy się kierowania traktorem i przekazuje swą nowozdobytą wiadomość innym. Ogromny zapał, planowość w pracy czynią cuda, a korzyści płynące z zastosowania traktoru nie dają długo na siebie czekać.

Trudności i borykania o jakich mówi Dubkowiecki odnoszą się do okresu NE-PU. Okresu, którego istotę określił Lenin dwoma słowami: „kto — kogo". Podstawowe ówczas zadanie rozwinięcia obrotu towarowego między miastem i wsią, osiągnięcia jak najściślejszej łączności między przemysłem socjalistycznym a ekonomiką chłopską, jeszcze prywatną, rozproszkowaną wielomilionowych drobnych gospodarstw — prowadziło do wydźwignięcia rolnictwa z ruiny wojennej, do wzmożenia produkcji, ale po takiej linii, aby, jak mówił Lenin w 22 r. na posiedzeniu Moskiewskiego Sowietu, że „Rosja nepowska stanie się Rosją socjalistyczną". Dlatego Lenin wskazywał, że rozwój rolnictwa powinien pójść drogą przyciągania chłopów do budownictwa socjalistycznego przez spółdzielczość, drogą stopniowego wprowadzania do gospodarki rolnej zasad kolektywizmu.

Spółdzielnia rolna Dubkowieckiego „UL i pszczółka" miała się z czym borykać w tym okresie. Tkwiła wszak wśród morza gospodarstw indywidualnych, restaurujących się na bazie prywatnej, przy nie rozumieniu jeszcze iż ta droga tylko do czasu, tylko cząstkowo może poprawić los. Ale też „Ul i pszczółka" jeden z pierwszych kilkuset arteli mógł liczyć na wsparcie moralne i polityczne Partii. Mniej na materialne, bo wszak miały to być próbne spółdzielnie, wyrastające samorzutnie, hartujące się w warunkach najbardziej dla nich nieprzychylnych, aby dać świadectwo siły i słuszności tej drogi. Pomoc materialna szła nie przed wysiłkami spółdzielców, ale w miarę ich własnych zdobyczy.

Dla szerokiego ruchu socjalistycznego trzeba było przejść od rozwinięcia handlu do rozwinięcia wielkiego przemysłu socjalistycznego. Osiąga to pierwsza pięciolatka Stalinowska (ukończona w cztery lata) 1925 — 9. Porywa ona i wzmaga produkcję rolną. Spółdzielnie rolne, takie jak „Ul i pszczółka" ukazują na tym etapie swoją nową, wyższą wartość produkcyjną. Mówią okolicznym wsiom o dalszej, **jedynie lepszej** drodze chłopa.

Już 1927 rok przynosi zbiór ozimin w ilości 100 pudów z hektara, a już w 1925 zbiory przekraczają plony kułackie **(i cóż wy na to głosiciele poglądu, że „na swoim" pracuje się intensywniej niż na gruncie wspólnym?...)** Cytuję autora. **„Zaczęliśmy liczyć pieniądze już nie na tysiące — ale na dziesiątki tysięcy rubli". „Mogliśmy nareszcie pozwolić sobie na zakup lepszej odzieży, ochronnych butów i na inne osobiste potrzeby". „Pojawiły się pieniążki i w kieszeniach członków spółdzielni".** Inwestycje mnożą się z roku na rok.

Jest rok 1927.

Własnymi siłami budują obszerny dom, nawet cegły robią sami (oszczędność 70.000 rubli). „Traktor, naftowy motor, siewniki, żniwiarki, młócarnie" i młyn, poruszany silnikiem naftowym, to już nie byle co, po 4 zaledwie latach ciężkiej walki.

Rok 1929 — to już ferma mleczna, pasieka, 35 krów, 26 koni, 500 świń, eksploatacja stawu (centnary karpia). Sławna już placówka ściąga do siebie pielgrzymki ciekawych z prasą na czele. Po 17 latach spółdzielnia pochwali się klubem, biurem, laboratorium, przychodnią lekarską wiatrakiem, małą elektrownią, dynamizującą życie gospodarcze placówki i redukującą nadmierną pracę do minimum.



A. Płastow — Zespół Kołchoźniczy, olej — (1949)

Nowoczesna motoryzacja i mechanizacja pracy w polu, w oborze i w kuchni.

Rok 1940 przynosi przekształcenie wsi zgodnie z inicjatywą Chruszczowa wieś w miasto. Zabudowania i ogrody w Kozaczeńskim wąwozie, szeregują się w ulicę.

Przypomnijmy raz jeszcze, że w latach 29—31 — kiedy chłopstwo ruszyło masowo do kołchozów, takie spółdzielnie, jak Dubkowieckiego (nie darmo przemianowana z „Ula i pszczółki" na „Zdobycz Października"), były żywym, przekonywującym przykładem dla masowego wejścia na nową drogę. W nich narosło doświadczenie walki o nową gospodarkę i jej budownictwa. W oparciu o to doświadczenie Partia mogła postawić hasło: powszechnego marszu. Mogła wskazać najwłaściwsze sposoby i środki przebudowy. Mogła po stalinowskiej pięciolatce rzucić masową pomoc materialną w narzędziach społecznej produkcji.

A GDY WYBUCHŁA WOJNA...

Ta krwią pisana książeczka —daleką jest od suchego sprawozdania. Autor wplata w tok opowiadania osobiste akcenty. Oto zostaje w nagrodę zasług wysłany na kurs kołchozowy. W międzyczasie placówka się trochę rozprzęga, by po jego powrocie wrócić szybko do normy, żona również zostaje wyróżniona, awansuje do władz centralnych Zw. Radzieckiego i studiuje, a poznajemy ją na początku drogi jeszcze jako młodą czarnobrewą — oblubienicę autora. Iści jej się sen o poznaniu wielkiego Stalina.

„Na Komisji tow. Stalin wystąpił krótko kilka razy... On przeważnie siedział i słuchał, co mówili kołchoźnicy i uśmiechał się... A kiedy występował — to wstawał i mówił tak prosto, jakby rozmawiał z nami".

Przez karty książki przewijają się wodzowie: Kaganowicz, Chruszczow i są porównania z innymi współzawodniczącymi spółdzielniami („Czerwony Październik", „Woroszyłow"), obrazy ich wspaniałych osiągnięć. Czytamy dalej (kartki szeleszczą, szeleszczą...) spółdzielnia już może pochwalić się cyframi: 3000 litrów mleka z każdej krowy, 600 — 700 pudów miodu (210) uli, 40.000 litrów wina (r. 1940). Wynagrodzenie za „pracodzień" wynosi 3 kg. zboża, 3 rb. 50 kopiejek, ryby, miód, kawony, jabłka, wino i t. p. Chleb piekła piekarnia. Jest wodociąg, kino, radio. Jeden z kołchoźników otrzymał w 1939: (wynagrodzenia różne w związku z współzawodnictwem pracy): 180 pudów zboża, 3.700 rubli, 4 pudy miodu, 4 pary butów filcowych, 2 pary zwykłych (1 para chromowych), 36 metrów materiału, 2 prosiaki. **Posiadał własną krowę i ogród.** Synowie (towarzysza Cz.) chodzili w szewiotowych ubraniach, córki w jedwabnych sukniach. **Każdy posiadał na własność działkę, (20 jabłoni, 5 grusz, 10 czereśni).**

Aż wreszcie...

„Grom przyszedł uderzyć"...

Wojna!...

Jeszcze wzruszająca scena powrotu autora do ojczyzny, wyzwolonej Besarabii, przywitania z rodziną. A potem, rozbiegnięcie się zespołu po świecie, ruina kołchozu, zdewastowanego przez Niemców.

Polegli też na polu chwały synowie autora, jak zaznacza po męsku zwięzła wzmianka tego ostatniego, sąsiadująca z szlachetnym wydźwiękiem radosnego współczucia dla tych, do których wrócili z wojennych przygód bracia, synowie i wnuki.

„Niech będą przeklęci podżegacze wojenni! I martwi i żywi, i ci, co się jeszcze nie narodzili... Niech wieczna hańba spadnie na ich krwawe imiona! Wojna zniszczyła mją dziewiętnastoletnią pracę! Wojna przyniosła mi i mojej spółdzielni straszliwe cierpienia! Wojna zabrała mi synów!...

I ZNÓW ZAPAŁ ZWYCIĘŻYŁ

Oddaję głos autorowi.

— „Wszystko trzeba było zaczynać od początku. Nie było traktorów, nie było koni, brakowało inwentarza i ziarna. Ale było najważniejsze: radziecka władza, która od razu dostarczyła kołchozowi i traktory i ziarna. Byli radzieccy ludzie, którzy mieli za sobą wieloletnie doświadczenie kołchozowego budownictwa". „Naprzekór burżuazyjnym pismakom, którzy prorokowali, że nasi ludzie wróciwszy z zagranicy zechcą zaprowadzić u nas zagraniczne porządki, zdemobilizowani frontowcy z zapałem wzięli się do roboty w kołchozie". W spółdzielni zawrzało. Ludzie zostali opętani pracą, pasją pracy. Opanował ich po prostu szał pracy, nieokiełzany entuzjazm, zapał szaleńczy. Niemal na karkach uciekających ze wsi nieprzyjaciół zjechał do Kozaczenkowego autor i kilku kołchoźników — i natychmiast przystąpiono do narady: oczywiście planowanie pracy odrodzeńczej.. Spółdzielcze S. O. S.

Niech przemówią cyfry.

„W ciągu pierwszego powojennego lata część gospodarczych zabudowań, młyn, olejarnię, dynamomaszynę, 2 silniki: jeden z nich uruchomił młyn, sieczkarnię, maszynę do cięcia okopowych, drugi — dynamomaszynę".

„Już na jesieni światło... poruszało tokarnię i bormaszynę". ...W sadzie stało już 80 uli. Makar Andrejewicz Gocyk zaczął wyrabiać wino". „Już w 1941 nabyliśmy 10 krów, 6 macior i zakontraktowaliśmy cielęta u kołchoźników". W r. 1946 rozpoczyna się realizacja później wykonanego planu potężnej elektrowni na... 400 kilowatów. W czasie posuchy brygadierzy Cz. i T. dnie i noce spędzają na polu i w ogrodzie „spulchniali ziemię, podkarmiali zasiewy, polewali ogród". Dalsze sukcesy? Prosz! Ujarzmiono rzekę Tykicz potężnymi granitami regulującymi jej bieg, zbudowano wielką elektrownię 400 kw., zakupiono radio, kino dźwiękowe, fortepian, instrumenty dęte dla orkiestry i zbudowano mechan. warsztaty, szopę, owczarnię, elektr. oranżerię. Bilans ogólny ostatnio wyniósł 1.229.000,— rb. Buraki cukrowe dawały 394,5 cntn. z ha, kartofle 203 cntn. z ha, zboża 100 pudów z ha. Ilość ziemi z pierwotnych 51 ha wzrosła do 650 ha. **A zarobki indywidualne? Rodzina Wł. otrzymała w roku sprawozdawczym 11.867,— rb., 286 pudów zboża, 75 pudów kukurydzy, 24 pudy prosa, 114 pudów kartofli, 470 pudów jarzyn, 8 pudów słonecznikowego nasienia oraz premie za buraki cukrowe.** A u hr. Szuwałowa otrzymywał przed 1917... 25 kopiejek dziennie!

AUTOR PRZYBYWA DO POLSKI

V Zjazd Związku Samopomocy Chłopskiej a na nim goście: delegacja chłopów Z. S. R. R. Wśród nich towarzysz Dubkowiecki. Moment wzruszający. Nasz prezydent Bierut siada przy autorze. Serdeczna rozmowa. Ton jej harmonizuje z ogólną atmosferą serdeczności i ciepła, panującą na tej sali, atmosferą łączącą dwa bratnie narody, rozdzielone do niedawna wskutek polityki magnackiej i jej wiekowych refleksów. Rozmowa z najwyższym przedstawicielem zagranicznego państwa. Mimowoli dłoń przesuwa się po kartkach książki wstecz. Cytuję autora.

„Zostałem deputowanym. Czy myśleli kiedyś moi rodzice, że ich Teosiek pójdzie tak wysoko?! Najwyższym szczęściem byłoby dla nich, gdybym został pisarzem w zarządzie wiejskim. Czy myślałem i ja sam — biedak, pański formal, że będę działaczem państwowym? Przeniosłem się myślami do Moskwy, na Czerwony Plac, gdzie w mauzoleum śpi wiecznym snem Lenin. To jemu powinienem dziękować. Stanął mi przed oczyma Czerwony Plac, na nim morze ludzi i Stalin, stojący na wysokim podium mauzoleum Lenina. To jemu powinienem dziękować.

Leninowi, Stalinowi, Partii, Ludowi dziękuję za ten wielki zaszczyt".

* * *

Cóż mówi polskiemu czytelnikowi historia tego jednego kołchozu? Kiedy śledzimy drugi i trzeci okres jego rozwoju, drugi już w latach pierwszej pięciolatki Stalinowskiej aż do 41 roku, do wojny ojczyźnianej i trzeci, kiedy po spustoszeniu wojennym i okupacji hitlerowskiej, spółdzielnia „Zdobycz Października" systemem właśnie społecznej produkcji i rozmachem ludzi radzieckich odbudowuje się ze zgliszcz i osiąga dobrobyt i wskaźniki produkcji wyższe niż w 41 r., wówczas widzimy moc niezwyciężoną, moc nie do zakwesionowania produkcji zespołowej, socjalistycznej w rolnictwie. Widzimy tę **sprawiedliwą szczęśliwość,** o jakiej chłopi przez wieki całe marzyli. Te dwa okresy każdego działacza chłopskiego muszą rozmarzyć, muszą go wzruszyć i wywołać mocne pragnienie — żeby u nas też, żeby u nas też!



P. Gorjunow — Skup zboża przez państwo, olej — (1949)

Ale dlatego wróćmy do pierwszego okresu. Do tych pierwszych wielkich trudności, klęsk, podźwignięć, walki zajadłej, wątpliwości, niechęci i niewiary w okolicy.

„Ul i pszczółka" walczyła o jutro i wywalczyła je „Zdobyczą Października". Ten pierwszy okres na tle drugiego i trzeciego mówi o tym, że trzeba wierzyć, trzeba się wysilić, trzeba się nie bać początków i nikłych wówczas rezultatów. Trzeba zacząć, trzeba walczyć, trzeba przekonywać. Trzeba zapragnąć stanąć **w szeregu pierwszych pionierów. Pierwszych,** torujących drogę przyszłości, **spółdzielni produkcyjnych.** Dlaczego to nasza wieś nie ma stać się pionierską? Oto pytanie — jakie każdy działacz winien sobie postawić, przeglądając historię tego jednego z wielu pierwszych kołchozów radzieckich. Dlaczego Dubkowieckim nie może być każdy z Was?

Bronisław Poletur

*) Deodor Dubkowiecki „Życie wsi" (przekł. Wandy Wasilewskiej), W-wa, Książka i Wiedza — 1950 r.

Leszek Bakuła

Narodziny przyjaźni

Szli w ataku niedaleko siebie
Razem bili, jedli, nie jedli
I nie jeden pół świata przebiegł
By wbić bagnet w faszystowski Berlin.

A gdy upadł ktoś z gwiazdą w szeregu
Towarzysze ją wetknęli jak serce
Gdzieś w mogiłę, w piasek na brzegu
Łzy chowając pokryjomu w manierce.

Potem oczy mieli suche jak błyski
Na bagnetach wymierzonych we wroga.
Mieli serca jak granaty wyschłe
I rytm marszów skrzydlatych pod nogą

A gdy upadł ktoś z orłem w szeregu...

Zbili w poprzek ucięte ręce
Białej brzozy zabitej na wojnie,
Potem żal wyśpiewali w piosence,
Potem — żar wystrzelali... spokojnie!

Tak za naszą i wspólną wolność
Żołnierz Rad szedł z Polakiem razem.
Setki mogił zostało po nich
Jak przyjaźni święte drogowskazy.

JAN KOPROWSKI

NOWA ŁÓDŹ

Fragmenty poematu

PIEŚŃ O ŁÓDZKICH PRZODOWNIKACH

O was
z fabryki imienia Stalina,
którym ziemia skrzydła podaje.

O was
pieśń ta — jak klon wyżynna
szumiąca urodzajem.
Jego imieniem was nazwali,
by człowiek twardszy był, niż ze stali.
I jak On — silni, jak On — mądry,
któremu ufność wszystkich lądów,
któremu dziejów szum jak w morzu.
On — siła,
wola,
serce i rozum.

O was
z zakładów Dzierżyńskiego —
pełnych hartu i entuzjazmu.
Rewolucja w szumnym rozpędzie
wymiotła koszmar łapą żelazną.

O was
abyście dobrze wiedzieli,
kim był dla sprawy towarzysz Feliks.
Z jego walki prostej jak sosna
przyszłość wyrosła.

O was
z warsztatów Marchlewskiego,
Kasprzaka, Nowotki i Okrzei.

O was
którzyście zimą na śniegu
padali krwawą plamą nadziei
za socjalizm, pracę i wolność.

O was
dziś śpiewam towarzysze.

Dzisiaj mi o was śpiewać wolno.
Niechaj pieśń tę każdy posłyszy.

Warsztat — domem,
Ojczyzną — praca.
Chodzę
ze szczęścia się zataczam.
Spojrzenia bystre,
jasne czoła.
Chodzę wśród ludzi
i na głos wołam:
słuchajcie, bracia,
w mieście Łodzi

słońce wschodzi
i nie zachodzi.
Na piersi „Sztandar Pracy" —
słońce.
Oczy —
płomienie gorejące.
Więcej i mądrzej,
taniej i szybciej, —
o miasto walki,
pracy i zwycięstw.

Dzisiaj — tysiąc,
jutro — milion.
Poeci czoła
przed wami chylą.
ZMP-owcy,
PZPR-owcy,
młodzi i starzy,
dziewczęta, chłopcy.

Norma 200,
300 i 500.
Tu wasze mózgi,
serca i ręce.

Tu wasze dni
i łuny nocy.
Sztandaru czerwień
jak ptak łomoce.
Przodownicy:
ludzie konkretni.
Budują Polskę:
Plan Sześcioletni.
Budują Polskę —
kuźnię pokoju.
Ojczyznę pracy
twoją
i moją.

Strofo uleć, rozpowiedz światu
o nich
co pierwsi w pracy i w walce.
Oni: skrzydła proletariatu.
Co dzień szeregi nowe i dalsze.

Wznoszą ramieniem swoje miasto,
ramię ich — wielkie i mocarne.
Produkcja znaczy — chleb i masło,
stół i serweta
i ubranie.

Produkcja znaczy — pokój,
szczęście.
Wasza droga do szczęścia prosta.
Wrogom — w kułak ściśnięte pięści,
odpowiedź gniewna, jak nóż ostra.

Wam, których co dzień więcej —
chwała.
Życie się waszym poddaje dłoniom.
Sześć lat przeleci. Czasu niemało.
Światła nad każdym domem zapłoną.

PIEŚŃ O BAŁUTACH

Oto cegły czerwone.
Z cegieł co dzień — za murem mur.
Z murów — ściany,
ze ścian — domy:
radość bałuckich synów i cór.

Nowe domy — pomnik poległym.
W walce niejeden upłynął rok.
A teraz popatrz: cegła do cegły
tęskni
i razem łączą się w blok.

Wstają Bałuty, rosną Bałuty,
siostra Warszawy i Nowej Huty.

Murarz kielnią przebija niebo:
nie chcemy wyżej niż nieba strop.
Cegła jak kromka pszennego chleba.
Śmieje się słońce:
wąsaty chłop.

Robotnicy bluźnią zegarom:
za długa noc, za krótki dzień.
Niebieskobluzi — pełną parą!
Życie rośnie mrucząc przez sen.

Wstają Bałuty, rosną Bałuty,
siostra Warszawy i Nowej Huty.

Przeganiamy śmierć z zaułków —
każda cegła zwycięża śmierć.
Balkony domów nad podwórkiem
grzeją w słońcu bieluchną pierś.

LIST Z ŁODZI

W Alei Kościuszki — obrazy,
wielki portret Wandy Gościmińskiej.
U nas co dzień potoki zdarzeń.
Miasto huczy jak koło młyńskie

Patrz — u Wandy spojrzenie jasne
i włosy wiejące chmurą.
Przy warsztacie — ojczyźnie własnej
praca sens ma, wagę i urok.

Przyjedź do nas, bracie. Zobaczysz
ile życia lato naniosło.
Jak uśmiechy przodowników - tkaczy
pod niebo dymami rosną.

Coraz szerszy miasta oddech —
nie pomieszczą dziejów ulic płuca.
Naszych synów spojrzenia modre
obłaskawia mądra rewolucja.

Przyjedź rychło. Czasu nie żałuj.
Czas nam w oczach rozbłyska jasno.
Słońce schodzi z nieba powały
w robotnicze, czerwone miasto.

Łódź — odpływa od starych brzegów,
uśmiech ojcu, steranej matce.
Sterniku — obroty w lewo
ku sześciolatce!

Łódź, w sierpniu 1950.

TADEUSZ ORLEWICZ

UBOŻENIE FARMERÓW w STANACH ZJEDNOCZONYCH

18 milionów całkowicie i częściowo bezrobotnych. 47 procent rodzin całego kraju zarabia mniej niż wynosi przeciętne minimum utrzymania. Dochody 30 milionów ludzi wynoszą zaledwie 60 proc. tego minimum. 16 milionów obywateli nie ma mieszkań. 8 milionów mieszkań — to nory, urągające najbardziej prymitywnym warunkom zdrowotnym. Podwyżki wynagrodzeń są od 25 do 50 proc. niższe niż wzrost kosztów utrzymania. Znakomitej większości obywateli, przede wszystkim ludzi pracy, nie szczędzi śruba podatkowa. Od dochodów swoich płacą na podatki 56 proc., zamiast 10 proc., jak to miało miejsce przed wojną.

Ale jednocześnie rosną niezmiernie zyski wielkich koncernów, zyski handlarzy śmierci. W roku 1950 zyski trustów są przeszło cztery razy większe niż były w roku 1939, a dwa razy większe niż w rekordowym pod tym względem 1944 roku. Podatek od nadzwyczajnych zysków tych koncernów zostaje obniżony z 85 do 38 proc. Obok oszałamiającego bogactwa — nędza. Obok rosnących dochodów niewielu — postępujące ubożenie milionów Obok zjawiska nadprodukcji — głód i coraz potworniejsze warunki bytowania.

Tak wygląda sytuacja w Stanach Zjednoczonych A. P., gdzie 5 procent ludności kraju włada 95 proc. bogactw narodowych, a 95 proc. ludności — tylko pięcioma procentami. Kapitalizm stworzył w USA religię amerykańskich ludzi interesu, którą tak lapidarnie określił Majakowski w swoich szkicach z Ameryki: **„dolar — bóg, dolar — ojciec, dolar — duch święty"**. Ta religia wprowadza w obłędny taniec amerykańskie życie gospodarcze i amerykańską żądzę panowania nad światem.

Obok innych gałęzi ekonomiki tego kraju w szczególnie trudnym położeniu znajduje się rolnictwo. We wszystkich krajach kapitalistycznych mamy do czynienia z nieustannie rozwijającym się zubożeniem pracującego chłopstwa, które pod naciskiem szalejącego wyzysku obcego i rodzimego kapitału, stacza się w warunkach bytowania coraz niżej i coraz powszechniej. Jednak można śmiało twierdzić, że w żadnym kraju kapitalistycznym zubożenie podstawowych mas ludności wiejskiej nie odbywa się tak szybko i nie osiąga takich rozmiarów jak w USA.

Mówią o tym liczby i fakty. Nie mogą ukryć grozy sytuacji nawet dane oficjalne. Mówią o sytuacji w rolnictwie północno - amerykańskim liczne opracowania i literackie i ekonomiczne. Przypomnijmy sobie choćby dzieła Teodora Dreisera. Weźmy np. powieść Hasel Gobey pt. **„Ziemie Georgii"** lub pracę Ley Freyera pt. **„Fermer Amerykański"**.

Kim jest Teodor Dreiser? Jest świetnym pisarzem, aktywnym bojownikiem o wolność i szczęście ludzi miast i wsi USA. Kim jest Hasel Gobey? Jest ona obszarniczką, właścicielką kilkusethektarowego majątku w stanie Georgia, a więc w tym samym stanie, w którym bohaterowie jej książki, członkowie jednej z rodzin fermerskich przeżywają — w warunkach ucisku kapitalistycznego, w pozornej atmosferze wsi cichej, wsi spokojnej — piekło na ziemi. A kim wreszcie jest Ley Freyer? Jest kapitalistycznym ekonomistą, wiernym wyznawcą starej, wstecznej szkoły burżuazyjnej.

Co wynika z prac tych dowolnie zresztą wybranych autorów? Jasne jest, że ani Gobey, ani Freyera lub im podobnych nic nie łączy ani z Dreiserem ani z walką ludu amerykańskiego o prawo do życia. Nie ma w nich oczywiście świadomej woli walki, nie ma zrozumienia przyczyn i źródeł opisywanych zjawisk, nie ma bojowej konsekwencji, jaka cechuje Dreisera. Nie ma i być nie może. A jednak książka obszarniczki, Gobey, bezwiednie staje się oskarżeniem obecnego ustroju wyzysku, zacofania i ciemnoty. A jednak praca Freyera równie bezwiednie, między wierszami, dowodzi degeneracji rolnictwa w kapitaliźmie i postępującej nędzy podstawowych mas chłopskich w tym systemie.

Niewesoło istotnie musi się dziać w kraju dolarowej demokracji, jeżeli oskarżenie ustroju staje się powszechnym. Bardzo silną pozycję w tym zbiorowym akcie oskarżenia zbrodni monopolistów amerykańskich stanowi praca Anny Rochester, pt. **„Dlaczego fermerzy są biedni?" *)**

Rochester jest Amerykanką, ma w swoim dorobku kilka prac, ilustrujących nędzę proletariatu USA. Potrafi patrzyć na zjawiska, towarzyszące drodze jej ojczyzny, oczami wiernej córki ludu amerykańskiego, dławionego przez kapitalizm. W oparciu o niezawodną teorię marksizmu — leninizmu potrafiła ona w swej pracy dokonać wszechstronnej analizy sytuacji rolnictwa w USA, udowodniła na podstawie bogatego materiału statystycznego i faktycznego, że powodem wszelkich nieszczęść fermerów amerykańskich jest rozkładający się ustrój kapitalistyczny, odważnie zarysowała dalsze perspektywy nieustępliwej walki pracującego chłopstwa w sojuszu z klasą robotniczą i pod jej przewodem. Otrzymujemy w konsekwencji od amerykańskiego ekonomisty wierny i pełny obraz sytuacji w rolnictwie USA, obraz położenia chłopstwa w tym kraju w okresie pomiędzy pierwszą a drugą wojną światową.

W tym okresie na wsi północno-amerykańskiej mieszkało ponad 40 proc. ludności kraju. Około 25 proc., a więc 32 miliony mężczyzn, kobiet i dzieci żyło i pracowało w przeszło 6 milionach gospodarstw. Ponadto na wsi mieszkało prawie 24 miliony ludności nierolniczej.

W roku 1929, a zatem w roku, który przeszedł do historii USA, jako rok pomyślności gospodarczej, ponad 1.800.000 ferm miało dochód roczny, nieprzekraczający 600 dolarów. Oznaczało to, że 30 proc. ferm mogło wypracować zaledwie tyle, ile z trudem wystarczało średniozamożnej rodzinie w mieście na utrzymanie w ciągu dwóch miesięcy. W tych właśnie fermach w latach „pomyślności" gospodarczej dogorywało ponad 7 milionów 700 tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci.

W latach 1935 — 1936 aż 56 proc. rodzin fermerskich miało dochód roczny poniżej 1.000 dolarów. Zaledwie 7 proc. ferm miało dochód roczny wyższy od 2.500 dolarów, a 0,4 proc. ferm — 10.000 dolarów i więcej. Znakomicie zatem spada dochodowość małych ferm, nie są one w stanie często wyżywić tych, którzy uprawiają ziemię, towarowość tych ferm praktycznie równa się zeru, następuje gremialny odwrót wstecz, do gospodarki naturalnej, do prymitywnych systemów uprawy. Warto również przypomnieć, porównując dane z roku 1929 i z roku 1935, że dolar z roku 1929 nie był równy dolarowi z roku 1935. W międzyczasie nastąpiła dewaluacja dolara o 40 proc., czyli 1 dolar z roku 1929 był wart tylko 60 centów w roku 1935. Ta dewaluacja najboleśniej jak zwykle dotknęła ludność pracującą w miastach i na wsi, robotników i podstawowe masy chłopskie.

Rochester podaje, że fermy biedniackie, stanowiące około 50 proc. wszystkich ferm kraju, dawały w roku 1929 zaledwie 15,6 proc. ogólnej produkcji rolno - hodowlanej, natomiast wielkie fermy, stanowiące znikomy odsetek wszystkich ferm, dawały przeszło 25 proc. producji USA na odcinku rolnictwa. Te ostatnie gospodarstwa, nastawione na towarowość, produkują coraz więcej, rugując z rynku gospodarstwa małe. Rozrastają się wielkie koncerny rolne, powiązane najściślej z kapitałem finansowym, uzależniającym od siebie w monopolistycznej formie nie tylko produkcję, ale i zbyt płodów rolno-hodowlanych, obrót towarowy pomiędzy miastem i wsią, wreszcie kredyt rolny.

Prawo kapitalistycznej koncentracji pomnaża ilość wielkich ferm, pomnaża ich powierzchnię kosztem średnich i drobnych fermerów. Ten proces nieustannie postępuje naprzód, bijąc najboleśniej w biedniaka. Rochester podaje m. in., że w zachodnich Stanach USA w latach 1899 — 1929 ilość drobnych ferm spadła z 30 proc. do 22 proc. Nieznacznie podniosła się ilość ferm średnich, natomiast bardzo wyraźnie wzrosła ilość ferm wielkoobszarniczych. Zjawisko wzrostu ilościowego ferm średnich jest zjawiskiem ciekawym. W okresie, o którym pisze Rochester, monopole rolne są już silne, jednak jeszcze ferma średniacka ma szansę istnienia w otoczeniu kapitalistycznym. W miarę jednak postępującej koncentracji kapitału i centralizacji środków produkcji w rolnictwie obok ferm biedniackich również ferma średniacka wpada w dławiące pęta bogaczy i obszarników. To też w latach po drugiej wojnie światowej słabsze fermy średnie spotyka ten sam los co fermy drobne i najdrobniejsze.

Olbrzymi nacisk monopoli, podatki, słaba wydajność ziemi w gospodarce kapitalistycznej w ogólności, w szczególności zaś w gospodarstwach małych, opanowanie produkcji i zbytu przez skomplikowaną sieć lichwiarskiego pośrednictwa sprawiają, że w ciągu dziesięciolecia 1925 — 1935 na każde 1.000 gospodarstw 219 padało pod młotkiem licytacyjnym, ponieważ nie mogło wydołać długom hipotecznym, a 79 na 1.000 musiało ulec likwidacji, ponieważ ich posiadacze nie byli w stanie uregulować nałożonych nań wymiarów podatkowych. Oczywiście nowymi posiadaczami nie stawali się biedni chłopi, ale opuszczona ziemia włączana było po bardzo niskich cenach w terytorium władania tego czy innego koncernu rolnego lub obszarnika.

Dokładne dane za lata 1920 — 1945 wykazują przede wszystkim, że ilość ferm w tym okresie spadła o 590.000. Spadek ten najsilniej występuje w grupie ferm drobnych i najdrobniejszych, ale nie omija już i ferm średnich. Natomiast ilość wielkich ferm wielkokapitalistycznych powiększa się niemal dwukrotnie. Powiększa się też obszar, zajmowany przez te fermy. 113 tysięcy ferm wielkich, stanowiących niecałe 2 proc. ilości wszystkich ferm kraju, zajmuje w roku 1945 przeszło 40 proc. powierzchni uprawnej USA, podczas gdy przed dwudziestu pięciu laty w ich posiadaniu było zaledwie 23 proc. gruntów. Jednocześnie stan posiadania gospodarstw małych kurczy się katastrofalnie z 37 do 24 proc.

Z tego wynika, że nieliczna grupa obszarników posiadała w roku 1920 tyle mniej więcej ziemi, ile blisko 4 miliony drobnych gospodarzy, a w 25 lat potym równie nieliczna jak poprzednio grupa obszarnicza miała w swoich rękach już cztery razy więcej ziemi niż miliony rodzin chłopskich.

W roku 1945 występuje już zupełnie wyraźnie zjawisko ubożenia ferm średnich. Kapitalizm północno - amerykański podejmuje więc frontalny atak na stan posiadania średniaków podobnie jak to czyni od wielu lat z najbiedniejszymi gospodarstwami. Oto bowiem dane wykazują, że aczkolwiek w grupie średnich ferm mamy do czynienia z nieznacznym wzrostem ilości gospodarstw, (w omawianym okresie z 15,6 proc. do 16,5 proc.) to jednak jednocześnie ich stan posiadania znakomicie się kurczy. Jeżeli bowiem w roku 1920 te gospodarstwa reprezentowały 28,9 proc. powierzchni uprawnej kraju, a więc więcej niż gospodarstwa kapitalistyczne, to już w roku 1945 odsetek ten spada do 23 proc., a zatym stanowi niemal dwa razy mniej niż stan posiadania ferm wielkoobszarniczych.

Proces ten w latach ostatnich nadal pogłębia się. Tak zatym biedni fermerzy rugowani są z ziemi, fermerzy średni spychani są najczęściej na pozycje biedniackie, by w bliższym lub dalszym czasie podzielić los biedniaków. Tak działa w kapitaliźmie konsekwentnie i nieustępliwie maszyna wyzysku i jak w wielkim młynie ziarno przemiela się na mąkę, tak w rękach kapitału finansowego podstawowe masy chłopskie przemielane są na proszek.

Pozostałe jeszcze przy życiu gospodarstwa drobne i średnie przekształcają się w warsztaty, pracujące faktycznie na monopolistów, bankierów i obszarników. Ich los jest w kapitaliźmie w większości przesądzony. Wielu też już dzisiaj woli rzucić fermę, niż powolnie umierać na pozornie swoim kawałku ziemi.

Wyrzuceni z ziemi lub w ucieczce przed powolnym dogorywaniem idą na tułaczkę. Jedynie w latach 1920 — 1929 około 2 milionów ludzi szło rok rocznie do miast w poszukiwaniu beznadziejnym za zarobkiem, 800.000 rocznie powiększało armię robotników rolnych, pędzących w służbie u obszarników żywot niemal niewolniczy. Jednocześnie z miast wędrowało rok rocznie około 1.300.000 osób, łudząc się, że tutaj łatwiej zarobią. Ta wędrowka proletariatu, szukającego w chaosie kapitalizmu możliwości życia, przekształca się w wędrówkę całych armii koczowniczych. Z bezrobocia zyski czerpie kapitalista, jak cynicznie bowiem powiadają w Ameryce, robotnik musi lepiej pracować, jeżeli wie, że na jego miejsce czeka dziesiątki pozbawionych pracy, gotowych w obronie przed głodowym konaniem podjąć pracę za bylejaką stawkę. Dlatego też płaca robotnika rolnego, podobnie jak robotnika fabrycznego przedstawia coraz mniejszą wartość nabywczą.

W ciągu 20 lat, o których mowa w książce Rochester, wzrosła więc liczba pracowników najemnych w rolnictwie o 1 milion. I jednocześnie, aczkolwiek zwiększyła się przeciętna ilość robotników, przypadających na jedną fermę, znakomicie spadła liczba ferm, korzystających z siły najemnej. Jeżeli w roku 1909 około 50 proc. zatrudniało najemników, to w roku 1935, jak podaje Rochester, już tylko 22,1 proc. ferm korzystało z obcej siły najemnej. Z tych 22,1 proc. conajmniej ¾ przypada na wielkie gospodarki kapitalistyczne. Te nowe miliony robotników rolnych — to wczorajsi „samodzielni" gospodarze, a proletariat wiejski obecnie, pracujący na cudzy rachunek i pod bezpośrednią presją kapitalisty.

Wielkie gospodarki rolne wyposażone są w rozliczne maszyny rolnicze i korzystają z najnowszych zdobyczy techniki. W ten sposób ich produkcja jest tańsza i lepsza. Mając z natury rzeczy wysoką towarowość swojej gospodarki, powiększają stale park maszynowy. W roku 1929 przeszło 85 proc. ferm nie posiadało traktorów. Wiele tysięcy traktorów i innych maszyn pracowało za to na polach obszarniczych. Tego rodzaju koncentracja środków produkcji jest charakterystyczna dla całego ustroju kapitalistycznego, ale w rolnictwie zbiera szczególnie ponure żniwo, obezwładniając i niszcząc podstawowe masy chłopskie. Nadto w roku 1940 około 40 proc. gospodarstw drobnych nie miało żadnego inwentarza żywego, wśród ferm najbiedniejszych, liczących przecież przeszło milion ferm, 48 proc. nie miało krów, a 59 proc. nie miało trzody chlewnej. Sprawy mechanizacji i elektryfikacji tych gospodarstw nie mają w warunkach obecnej rzeczywistości amerykańskiej żadnych szans rozwojowych, a przeciwnie należy się liczyć z coraz gorszą sytuacją na tym odcinku.

Gdybyśmy do tego szkicowego obrazu dodali jeszcze zagadnienie cen, to wypadałoby wspomnieć o dwóch szczególnie charakterystycznych zjawiskach. W okresie zarówno spadku jak i wzrostu ogólnego wskaźnika cen rozpiętość pomiędzy cenami płaconymi przez rolników za artykuły przemysłowe a pomiędzy cenami płaconymi rolnikom wykazuje zawsze stan na niekorzyść rolnictwa.

I tak w latach 1929 — 1932 produkcja przemysłowa spadła o 46 proc., ale rozmiar produkcji rolniczej w zasadzie utrzymał się na tym samym poziomie. Wskaźnik cen na artykuły przemysłowe spadł w tym czasie o 23 proc., za to wskaźnik cen na artykuły rolno - hodowlane — aż o 55 proc. Oczywiście tego rodzaju stan rzeczy w barbarzyński sposób niszczył opłacalność produkcyjną ferm drobnych, nie dotykał natomiast ferm wielkokapitalistycznych, które dzięki swoim bezpośrednim powiązaniom z kapitałem finansowym, mogły dowolnie spekulować zarówno na zwyżce jaki na zniżce cen, w miarę potrzeby korzystając z kredytu lub magazynując produkty na dogodniejszy dla spekulacji okres czy też niszcząc po prostu ich nadmiar. Na takie postępowanie nie mógł i nie może sobie pozwolić ani biedny ani średni fermer, ponieważ to, co wyprodukuje, musi natychmiast sprzedać.

W latach wojny obserwowano w USA szczególnie silną zwyżkę cen na artykuły rolno - hodowlane, ale rozpiętość nożyc nadal nie zmniejszyła się. Zwyżka tych cen w konsekwencji powiększyła wielokrotnie dochody koncernów rolniczych, niewiele też zostało z tej zwyżki dla polepszenia sytuacji całego rolnictwa północno - amerykańskiego.

I jeszcze jedno zestawienie statystyczne. Przyjmijmy, że towar, dostarczony przez fermera na rynek, reprezentuje wartość jednego dolara. Ale cały w tym sęk, że najczęściej fermer amerykański jest pozbawiony możności sprzedania bezpośrednio do rąk konsumenta swoich towarów. Jest bowiem otoczony siecią monopolistycznego pośrednictwa, które uzależnia od siebie masy chłopskie tysiącem czynników natury gospodarczej. I okazuje się, że chłop z tego jednego dolara nie otrzymuje w rzeczywistostości więcej niż 40 centów, a są artykuły, przy których jego udział w 1 dolarze spada do 20 centów. Rochester podaje m. in. sytuację na odcinku cen mleka. Wynika z podanego przez nią zestawienia, że udział fermera w tym 1 naszym dolarze przy sprzedaży mle-

dokończenie na str. 4

*) Anna Rochester. Poczemu biedni fermeri? Agrarnyj krizis w Sajedinnich Sztatach. Przekład z języka angielskiego z przedmową prof. F. P. Koszelewa. Moskwa. Wydawnictwo Literatury Zagranicznej. Rok 1949. Stron XXXII + 354.

JÓZEF GŁAŻEWSKI

SPÓŁDZIELNIE PRODUKCYJNE W BUŁGARII*)

1. ROLNICTWO BUŁGARSKIE PRZED 1944 R.

Według spisu z 31 grudnia 1946 r. w Bułgarii było około 1.100 tysięcy gospodarstw rolnych zajmujących 4.894 tysięcy ha ziemi. Spośród nich zaledwie 85 tysięcy gospodarstw, czyli 7,7 proc. ogólnej liczby — posiadała ponad 10 ha ziemi, natomiast znacza większość, bo 63 proc. posiadała mniej, aniżeli 5 ha ziemi. Prócz tego ziemia była straszliwie rozdrobniona na maleńkie parcele przeciętnie po 0,4 ha. Średnie gospodarstwo w Bułgarii w 1946 r. posiadało 4,25 ha ziemi i było zwykle podzielone na jakieś 15 części rozrzuconych na przestrzeni kilku kilometrów.

165 tysięcy gospodarstw nie posiadało w latach 1944-46 żadnego inwentarza rolniczego, a 135 tysięcy żadnej siły pociągowej.

Do 1946 roku stale powiększała się liczba biednych gospodarstw. Równocześnie do czasu reformy rolnej w 1946 roku następowała koncentracja ziemi w rękach coraz to mniej licznych, lecz coraz zasobniejszych posiadaczy ziemskich. W Bułgarii było 147 rodzin wielkich latyfundystów, które corocznie ciągnęły z majątku ponad milion lewów czystego dochodu.

W warunkach Bułgarii jedna rodzna chłopska, składająca się z 4 do 5 osób, jest w stanie uprawiać 8 — 10 ha ziemi. A zatem do uprawy 4,9 milionów ha ziemi w Bułgarii wystarczyłoby 500 — 600 tysięcy rodzin chłopskich. W rzeczywistości rodzin chłopskich utrzymujących się z roli jest omal 2 razy więcej, to jest około 1,1 miliona. Świadczy to o niezwykłym przeludnieniu i skrajnej nędzy wsi bułgarskiej w okresie międzywojennym.

Taka sytuacja trwała do 1944 r. Obecnie pewna część ludności wiejskiej została skierowana do rozbudowującego się przemysłu, transportu, do budownictwa itd. Lecz w poprzednim okresie rozdrabnianie małej własności i wzrastające przeludnienie powodowały katastrofalne zbiednienie ludności wiejskiej, ogromne zacofanie chłopskich gospodarstw. Wyrazem tego zacofania są choćby narzędzia rolnicze jakimi się posługiwali przed wojną, a nawet w pierwszych latach po wojnie chłopi bułgarscy. W 1934 r. ponad 66 proc. gospodarstw posiadało jedynie drewniane sochy, tylko 31 proc. — żelazne pługi; tylko 10 proc. gospodarstw posiadało brony; tylko 18 proc. — wialnie. Maszyny i większe narzędzia rolnicze posiadało zaledwie 0,5 proc. gospodarstw będących oczywiście własnością wielkich posiadaczy.

W tym okresie reakcyjne i faszystowskie rządy prowadziły zgubną dla rolnictwa bułgarskiego politykę, przejawiającą się m. in. w upośledzeniu rolników, którzy zajmowali się uprawą kultur przemysłowych. Polityka ta wynikała z zasadniczego stosunku imperialistów faszystowskich do Bułgarii. Pragnęli oni, aby kraj bułgarski stał się ich kolonią, dostarczającą płodów ziemi i surowców, a równocześnie rynkiem zbytu dla obcego przemysłu. Nawet przetwory spożywcze z surowców bułgarskich wracały do Bułgarii z zagranicznych fabryk. Eksploatatorzy stosowali straszliwy ucisk podatkowy specjalnie w stosunku do tych drobnorolnych chłopów, którzy zajmowali się uprawą tytoniu, buraków cukrowych, bawełny itd. Za niszczenie krzewów róż, które słusznie są chlubą Bułgarii dawano specjalne premie.

Rolnictwo bułgarskie zdążało do ostatecznego upadku, zwłaszcza w latach grabieży hitlerowskiej. Między 1941 a 1944 r. liczby zwierząt hodowlanych zmniejszyły się zastraszająco: koni — o 28 prac.; bydło rogate — o 16 proc.; osły — o 38 proc.; bawoły — o 25 proc.; owce — o 24 proc.; świnie — o 25 proc.; ptactwo domowe o około 41 proc.

Takie były wyniki rządów faszystowskich na wsi bułgarskiej.

2. WALKA KLASOWA NA WSI BUŁGARSKIEJ

Na wsi bułgarskiej trwa ostra walka klasowa. 7 — 10 proc. gospodarzy wiejskich — to kułacy, którzy według obliczeń z roku 1946 brali do swej kieszeni około 22 proc. ogólnego dochodu rolnictwa krajowego. Stosowali oni nieludzki wyzysk w stosunku do parobków i robotników rolnych, którzy pracowali na ich ziemi. Obecnie stosunki na wsi reguluje państwo ludowe przez miejscowe Rady Narodowe. Po reformie rolnej w wyniku podziału ziemi obszarniczej znacznie powiększyła się grupa średniorolnych chłopów. Ilość gospodarstw od 2 — 5 ha i od 5 — 10 ha zwiększyła się, jeśli porównamy cyfry z roku 1926 i 1946. Nie każdy jednak chłop, który posiada w Bułgarii 2 ha ziemi jest gospodarzem średniozamożnym. Zdarzają się wśród nich i biedniacy. Podobnie nie każdy właściciel 10 ha gospodarstwa jest średniozamożny, gdyż są wśród nich posiadacze winnic, pól tytoniowych, czy upraw ryżu, którzy należą do grupy bogatych producentów najmujących robotników do pracy i wyzyskujących ich.

Ogromna masa chłopstwa licząca około 120 tysięcy posiada zaledwie po 1 ha ziemi. Chociaż ich liczba stanowi 12 proc. ogólnej liczby wszystkich gospodarstw, to zajmują oni tylko 1,4 proc. ziemi uprawnej. Ich nędzne gospodarstwa z reguły nie mają ani bydła roboczego, ani innego inwentarza.

W czasie walk wyzwoleńczych w XVIII i XIX wieku bogacze byli po stronie Turków, uświadamiając sobie, że przy władzy tureckiej będą mogli dalej bezlitośnie i bezkarnie wyzyskiwać lud. Biedota natomiast popierała ruch wyzwoleńczy i aktywnie uczestniczyła w walce przeciw najeźdźcy. Z ruchem narodowowyzwoleńczym wiązały się bowiem nadzieje na lepszą przyszłość. Ale i one wkrótce miały się rozwiać. W latach 20 naszego wieku kapitaliści zdołali skłonić kułacki rząd Stambolijskiego do zupełnego zerwania z ruchem robotniczym, wysuwającym hasła bezwzględnej walki z kapitalistycznym wyzyskiem i bezprawiem. Pamiętajmy, że właśnie



Narada bułgarskiej brygady młodzieżowej przed pracą

z tego powodu „chłopskie“ rządy Stambolijskiego upadły, a sam premier został zabity.

W późniejszych latach bogate chłopstwo w dalszym ciągu udziela poparcia reakcyjnym rządom caratu w Bułgarii. Ostatni carski premier Giczew, który rządził w imieniu partii bogatych chłopów, zaprzedał ostatecznie Bułgarię hitlerowskim Niemcom. Po zwycięstwie rewolucyjnego powstania 9 września 1944 r. — kułacy w Bułgarii usiłują atakować państwo ludowe najrozmaitszymi sposobami: przez sabotaże gospodarcze, antyrządową propagandę, itd. Na terenie wsi ich walka skierowana jest przede wszystkim przeciwko wzrastającemu wciąż na sile ruchowi spółdzielni produkcyjnych. Lecz wysiłki ich pozostają bezskuteczne; biedni i średniorolni chłopi pod kierownictwem i w oparciu o partię i klasę robotniczą obejmują władzę w radach narodowych, organizują spółdzielnie produkcyjne i kładą kres kułackiemu wyzyskowi.

3. REFORMA ROLNA 1946 r.

W marcu 1946 roku, Zgromadzenie Narodowe wyprzedzając o półtora roku uchwalenie Konstytucji rozpatrzyło i zatwierdziło „Ustawę o własności ziemskiej“. Podstawą tej ustawy była zasada, przyjęta także w konstytucji: **ziemia należy do tych, którzy ją uprawiają.** Ustawa określa, że jedna rodzina może posiadać najwyżej 20 ha ziemi, a na terenach Dobrudży, ostatnio przyłączonych do Bułgarii — 30 ha. Ci, którzy sami nie zajmują się rolnictwem mogą posiadać do 3 ha ziemi.

Na podstawie uchwały Zgromadzenia Narodowego — ziemia tych, którzy posiadali ponad 20 ha (w Dobrudży — 30 ha) przeszła na rzecz funduszu ziemi, który został rozdzielony między małorolnych lub bezrolnych oraz obywateli poszkodowanych przez okupanta. Ze 165 tysięcy ha dawnej ziemi obszarniczej, przyklasztornej i kułackiej 127 tysięcy chłopów małorolnych gospodarujących indywidualnie otrzymało przeciętnie po 1 ha ziemi, reszta została przydzielona spółdzielniom produkcyjnym, państwowym gospodarstwom rolnym i fermom hodowlanym.

Zestawienie powyższych cyfr, dotyczących reformy rolnej w Bułgarii wywołała pewne zdziwienie u polskich czytelników, którzy pamiętają szeroki zasięg przeprowadzonej w Polsce po wyzwoleniu reformy rolnej. Trzeba pamiętać o tym, że w Bułgarii jest wogóle mało ziemi. Kraj jest górzysty, a ludności dużo. Dlatego tylko jednohektarowymi zagonami można było obdzielić większą ilość małorolnych gospodarstw. Obok ogólno - gospodarczych przyczyn złożyły się na tę sytuację historyczne warunki kształtowania się większej — kułackiej własności ziemskiej.

Proces tworzenia się kułackich gospodarstw i formowania się większych posiadłości ziemskich rozpoczął się w okresie końcowym niewoli tureckiej (do 1878 r.). Dlatego procesy kapitalistyczne koncentracji ziemi w rękach bogaczy nie zaszły tak daleko jak np. w Polsce. Wraz z upadkiem panowania tureckiego zginęła w Bułgarii wielka własność ziemska. Za czasów tureckich tylko sułtan, zgodnie z zasadami mahometańskmi był właścicielem ziemi, powierzał on ją w użytkowanie jedynie wyznawcom islamu, a więc prawie wyłącznie Turkom. Po przepędzeniu Turków przez armię rosyjską i bułgarskich powstańców ziemię poturecką rząd „rozdzielił“ za „odpowiednią“ opłatą pomiędzy chłopów. Od tego czasu różnice klasowe na wsi bułgarskiej, w miarę rozwoju kapitalizmu zaostrzały się i pogłębiał się podział na kułaków i biedotę wiejską. Są to m. in. powody tragicznego rozdrobnienia rolnictwa bułgarskiego.

W tej sytuacji Ludowa Bułgaria już w pierwszych latach po wyzwoleniu wkroczyła na jedyną drogę zapewniającą usunięcie wyzysku na wsi, postęp w rolnictwie i dobrobyt chłopów, na drogę organizowania spółdzielni produkcyjnych.

4. SPOŁECZNA TREŚĆ TKZS

Pierwsze 24 nielegalne spółdzielnie produkcyjne powstały jeszcze w czasie okupacji faszystowskiej. Przetrwały do wyzwolenia, t. j. do 1944 r. Od wyzwolenia — rozpoczyna się okres ich rozwoju.

Zaraz po wyzwoleniu również samorzutnie powstały dalsze spółdzielnie produkcyjne, chociaż nie istniało ani centralne kierownictwo spółdzielni produkcyjnych, ani nie było żadnej kampanii uświadamiającej wśród chłopstwa. Rzeczywistą dla nich próbą, z której wyszły zwycięsko była susza w latach 1946—48.

Istniejące spółdzielnie podczas suszy zebrały o 15 do 40 proc. wyższe plony, aniżeli sąsiedzi — indywidualni gospodarze. Toteż lata 47 i 48 stanowią okres trudnej próby w historii rozwoju spółdzielczości produkcyjnej w Bułgarii. Widząc ich poważne sukcesy indywidualni gospodarze samorzutnie zaczęli masowo organizować TKZS (Trudowi Kooperatiwni Zemedelski Stopanstwa).

Obecnie nie ma wsi w Bułgarii, w której by się nie omawiało sprawy założenia TKZS.

TKZS, czyli spółdzielnie produkcyjne w Bułgarii, są to wielkie spółdzielnie, społeczne gospodarstwa rolne, założone przez chłopów i oparte:

a) na ziemi, która stanowi prywatną własność poszczególnych chłopów, skutkiem tego w TKZS wypłaca się rentę gruntową, czyli wynagrodzenie za wniesioną do TKZS ziemię, inaczej mówiąc nie pochodzący z pracy dochód właściciei tej ziemi. Nie oznacza to, że w TKZS utrzymały się i działają kapitalistyczne zasady. Ziemia TKZS jest w społecznym użytkowaniu członków spółdzielni, a nie w użykowaniu prywatnym, wysokość renty określa nie poszczególny chłop, nie kapitalistyczna przeciętna marża zysku, lecz kolektyw (walne zgromadzenie członków w ramach przewidzianych wzorowym statutem); poza tym renta jest regulowana przez państwo, które zezwala na jej wypłatę tylko w granicach określonych w statucie spółdzielni, zatwierdzanym przez państwo;

b) na społecznych środkach produkcji (siła pociągowa, inwentarz rolniczy, zabudowanie gospodarcze), powstających z wkładów wstępnych, bezzwrotnych i inwentarzowych, z niepodzielnych funduszów, które stanowią już spółdzielczą, socjalisyczną formę własności należącą do wszystkich członków spółdzielni;

c) na środkach produkcji (traktory, maszyny rolnicze), które stanowią własność państwową, tzn. które stanowią ogólnonarodową socjalistyczną własność, oddawaną do dyspozycji TKZS przez państwo — za pośrednictwem stacji maszynowo - traktorowych — za odpowiednią opłatą;

d) na stosowaniu pracy wyłącznie członków danej spółdzielni, bez używania siły roboczej pochodzącej z zewnątrz;

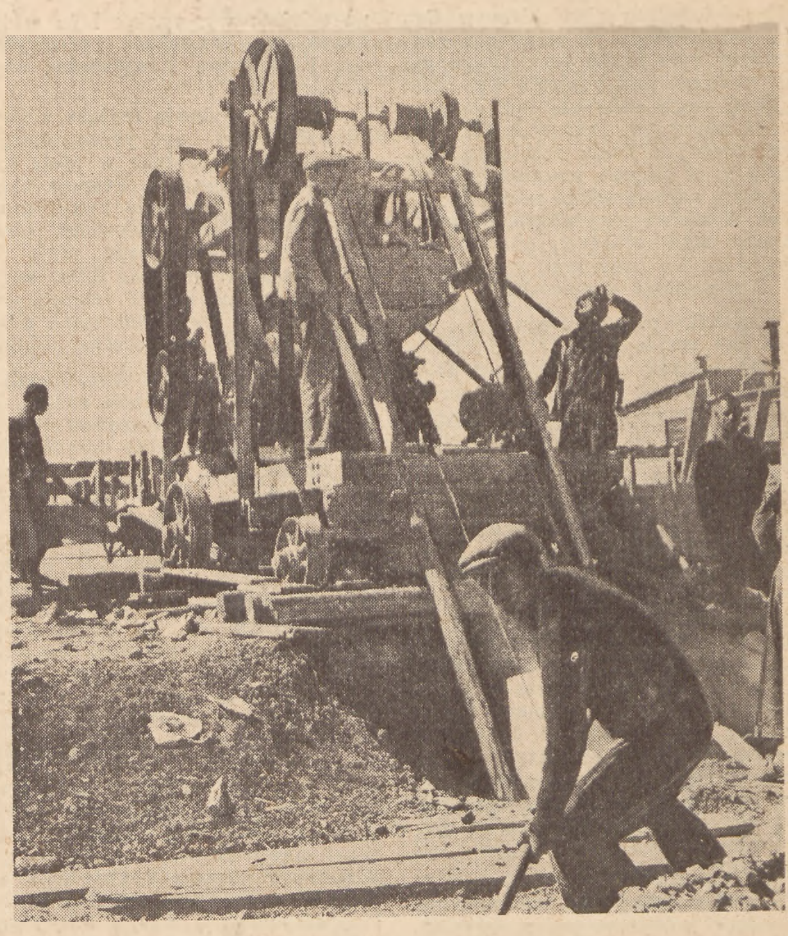
e) na stosowaniu socjalistycznych zasad podziału, organizacji i wynagrodzenia za pracę

f) na istnieniu w TKZS gospodarstw przyzagrodowych (działka ziemi i bydło), dla zaspokojenia osobistych potrzeb rodzin członków spółdzielni.

Ponieważ w Bułgarii władza państwowa znajduje się w rękach klasy robotniczej złączonej sojuszem z pracującym chłopstwem, ponieważ w rękach państwa znajduje się przemysł i system kredytowy, ponieważ w TKZS środki produkcji są uspołecznione lub państwowe, a ziemia chłopów, członków TKZS została scalona i prowadzona jest na niej planowa gospodarka, ponieważ przy podziale dochodów, w organizacji pracy i wynagradzaniu za pracę — stosowane są w przeważającej mierze — socjalistyczne zasady, dlatego: **„produkcyjne spółdzielnie rolne TKZS stanowią swoistą formę socjalistycznego przedsiębiorstwa rolnego,**

5. WZOROWY STATUT TKZS

Na ogólnokrajowej konferencji delegatów wszystkich (ponad 1600) TKZS w kwietniu 1950 r. szeroko omówiono oraz jednogłośnie przyjęto wzorowy statut TKZS.



Z budowy Dymitrogradu

Statut ten został akceptowany przez bułgarską Radę Minisrów i CK Komunistycznej Partii Bułgarii.

W opracowaniu tego wzorowego statutu, którego początkowy projekt został opublikowany na kilka miesięcy przed tym — wzięło udział około 950 tysięcy członków spółdzielni produkcyjnych, indywidualnych gospodarzy, działaczy partii komunistycznej i chłopskiej (BZNS), specjalistów oraz kobiet i młodzieży.

Wzorowy statut TKZS przejęty w kwietniu 1950 r. opiera się na doświadczeniach od dawna istniejących spółdzielni produkcyjnych i na wnioskach praktycznego zastosowania poprzedniego wzorowego statutu, który był opracowany w 1948 r.

Jak określa statut TKZS spółdzielnie produkcyjne powstają w celu „...zapewnienia zwycięstwa nad kułakiem, nad wszystkimi eksploatatorami i wrogami mas pracujących, dla osiągnięcia wysokiej wydajności pracy i zapewnienia lepszego życia...“.

Statut ustala sposób użytkowania ziemi. Na scalonych gruntach organizuje się prawidłowy płodozmian i każda brygada produkcyjna otrzymuje do pracy na stałe określony obszar gruntu.

Wzorowy statut stanowi znaczny krok naprzód w dziedzinie ogranicza nia renty za ziemię. Stary statut przewidywał, iż z czystego naturalnego i pieniężnego dochodu rozdziela się do 40 proc. jako rentę za wniesioną ziemię, resztę, t. j. najmniej 60 proc. — za wniesioną pracę. W nowym statucie za górną granicę sum wypłacanych jako renę za ziemię przewiduje się 30 proc. z tym, że walne zgromadzenie członków spółdzielni samo decyduje o jej wysokości.



Praca przy ziarnie w spółdzielni produkcyjnej „Biała Słatina“

Nowy wzorowy statut zwraca uwagę członka spółdzielni na wydajność jego pracy. Rozdział dochodów, organizacja pracy i sysem płac w TKZS według nowego wzorowego statutu przynoszą korzyść uczciwym, ofiarnie i wydajnie pracującym członkom spółdzielni produkcyjnej.

Przystępujący do TKZS przekazują do użytkowania spółdzielni wraz z ziemią swój inwentarz rolniczy, magazyny, konie, bydło i in. urządzenia (oprócz tego co przewidziane jest do użytku rodziny). Wkład inwentarzowy ustala się w zależności od rozmiarów wniesionej ziemi.

Statut ustala, że spółdzielnie mają prowadzić gospodarkę planową, sumiennie wypełniać swe zobowiązania wobec państwa, zdążać do tego, aby wszelkimi środkami zwiększyć plony, organizować fermy hodowlane, uszlachetniać rasę bydła itd.

W wyniku doświadczeń ruchu spółdzielni produkcyjnych w Bułgarii — nowy statut ustalił wielkość gospodarstw przyzagrodowych na 0,2 do 0,5 ha (w zależności od jakości ziemi — wg. decyzji walnego zgromadzenia członków TKZS) oraz zleca pozostawiać do osobistego użytku następujący inwentarz żywy: krowę lub bawolicę z przychówkiem, 1 — 2 świń, 3 — 5 owiec, 1 osła, nieograniczoną ilość ptactwa domowego i królików oraz 10 uli.

Wzorowy statut zapewnia całkowitą demokrację wewnątrz spółdzielni produkcyjnej. O wszystkich ważniejszych zagadnieniach gospodarczych decydują ogólne zebrania członków. W okresach między ogólnymi zebraniami — codzienną pracą kieruje zarząd TKZS, który prowadzi prace zgodnie z uchwałami i wytycznymi ogólnego zgromadzenia

Wzorowy statut TKZS w Bułgarii jest zdrową podstawą dla dalszej socjalistycznej przebudowy wsi, dla wysiłków nad polepszeniem życia chłopskiego.

6. SUKCESY SPÓŁDZIELCZOŚCI PRODUKCYJNEJ W BUŁGARII

Spółdzielnie produkcyjne w ustroju demokracji ludowej, w konkretnym wypadku TKZS w Bułgarii — stanowią nową formę gospodarki w rolnictwie. Zastosowanie tej nowej formy gospodarczej a mianowicie TKZS zawdzięcza Bułgaria swej Partii Komunistycznej — w głównej mierze jej przywódcy i nauczycielowi — Georgi Dymitrowowi.

Obecnie wiele tysięcy, prawie milion ludności wiejskiej w Bułgarii — związało swoje losy z TKZS. TKZS posiada ogromne sukcesy w dziedzinie nieustannego zwiększania plonów rolnictwa i wydajności hodowli, co posiada wielkie znaczenie dla gospodarki ogólno - narodowej, a w następstwie również w dziedzinie podnoszenia poziomu życia członków TKZS i ich rodzin. Jak już podawaliśmy w początku 1950 r. było w Bułgarii 1605 TKZS, w których uczestniczyło 161 tysięcy członków z 560 tysięcy ha ziemi (w maju 1950 r. — około 750 tysięcy ha), w tej liczbie 4 tysiące ha ogrodów i 8 tysięcy ha winnic.

W 1949 r. przeciętnie w TKZS otrzymano od 15 do 20 proc. wyższe zbiory, aniżeli w indywidualnych gospodarstwach. Jest to rezultat dobrej agrotechniki, zasosowania maszyn pomocy ze strony państwa (na ziemiach TKZS pracowało ponad 6 tys. traktorów).

W powiecie błagojewgradzkim (dawna Górna Dzumaja) wszystkie TKZS zbierały średnio w 1949 r. z ha ziemi 1010 kg. tytoniu, a indywidualni gospodarze przeciętnie 800 kg; czerwonego pieprzu — (podobnie) 20 tysięcy kg i 12 tysięcy kg; pomidorów: 25 tysięcy kg. i 1700 kg; buraka cukrowego 50 tysięcy kg i 30 tysięcy kg.

W powiecie kolarowodzkim roczna dojność krowy w TKZS wynosiła średnio 1200 litrów mleka, a owcy 48 litrów; natomiast w indywidualnych gospodarstwach krowa przeciętnie dawała 400 litrów, owca 30 litrów.

A jak wyglądają osiągnięcia członków TKZS? Co otrzymują za swą pracę?

Delczo Gerow ze wsi Gorskij-izwor powiatu Haskowo — posiadający 3 osoby rodziny wniósł do TKZS 0,5 ha ziemi. W ciągu 1949 r. wykonał 421 dziennych norm pracy i otrzymał: 2050 kg. żyta, 259 kg. ziarn słonecznikowych (dla przeróbki na olej roślinny tzw. słonecznikowy) i 62570 lewów bułgarskich w gotówce.

Władin Nedjałkow ze wsi Łozen powiat Gorna Oriachowica wniósł do TKZS 1,7 ha ziemi. Otrzymał on za 436 dniówek obrachunkowych i za wniesioną ziemię 2120 kg. pszenicy, 3262 kg. kukurydzy, 200 kg. jęczmienia, 59 kg. żyta, 393 kg. ziarna słonecznikowego, 1520 kg. kartofli itd.

Bezrolny Efrem Ibramow ze wsi Belica, powiatu Beleńskiego pracując razem z żoną osiągnął 635 dniówek obrachunkowych, za które oboje otrzymali: 2168 żyta, 230 kg. ziarn słoneczniokwych, 238 kg. prosa, 107 kg. cukru, 13 kg. wełny i 75500 lewów bułgarskich gotówką.

Podaliśmy powyżej przeciętne, nie krańcowe przykłady zarobków członków spółdzielni produkcyjnych z różnych zakątków kraju.

Stanowią one wymowny dowód poprawy warunków bytu biednych i średnich chłopów w Bułgarii.

Budownictwo w TKZS rozwija się w tempie, jakiego nigdy dotąd wieś bułgarska nie obserwowała. Przede wszyskim buduje się składy, magazyny, stajnie, obory, chlewy oraz urządzenia wodne, elektryczne itp. Wiele TKZS przystąpiło również do budowy domów mieszkalnych oraz nowych planowo zabudowanych wsi.

Wszystkie dane powyższe świadczą niezbicie o wyższości gospodarki spółdzielczej w porównaniu z indywidualnymi gospodarstwami.

Widzi to biedota wiejska i średniacy i dlatego wciąż nowe tysiące chłopów organizują nowe spółdzielnie i przystępują do istniejących.

Józef Głażewski

*) Fragment książki, która ukaże się w cyklu „Wiedzy Powszechnej“

Tablica Nr. 1

	Liczba TKZS	Liczba członków TKZS	Liczba ha ziemi w TKZS
do 9 września 1944 r.	28	1 677	4 032
W dn. 31 grudnia 1944 r.	110	7 238	26 580
„ „ 45 r.	382	34 362	146 57
„ „ 46 r.	480	41 027	172 650
„ „ 47 r.	549	44 159	180 035
„ „ 48 r.	1 1 0	ok 78 934	29[illegible] 381
„ „ 49 r	1 605	„ 161 000	ok. 560 000
„ 1 kwietnia 1950 r.	1 633	„ 180 000	„ 622 1 0

Tablica Nr. 2

Zbiory zbóż w TKZS i w indywidualnych gospodarstwach w 1949 r. w kg. z ha ziemi

Powiat (wieś)	Pszenica		Żyto		Jęczmień	
	TKZS	Indyw. gosp.	TKZS	Indyw. gosp.	TKZS	Indyw. gosp.
powiat Wraca	1 550	1 200	1 650	1 030	1 800	1 060
pow. Oriachow	1 370	700	1 670	900	1 440	1 150
„ Biela Słatina	1 450	1 200	1 900	1 450	1 760	1 500
„ Łom	1 120	900	2 200	1 500	—	—
wieś Petricz pow. Sofia	1 500	800	1 560	800	1 980	900
wieś Sławianowo pow. Harmanli	1 960	800	1 000	400	1 620	300

KAZIMIERZ WYKA

KONSERWATORZY „NĘDZY GALICYJSKIEJ" *)

Paradoksalnym zjawiskiem w Galicji bezpośrednio po zniesieniu pańszczyzny było to, że przy ogromnym już wówczas przeludnieniu wsi galicyjskiej nagle zabrakło rąk do pracy najemnej po dworach. W tym przeludnionym kraju rolniczym zjawisko to w stopniu mocniejszym lub słabszym nabiera odtąd znamion stałości. Właściwe jego przyczyny spróbujemy niżej objaśnić, obecnie zatrzymamy się przy tym, co dostrzegli i zrozumieli współcześni.

Wiedzieli przede wszystkim, że wieś jest przeludniona. Ks. A. Jakubowski („myśli o podniesieniu przemysłu i fabryk w Galicji") przyjmuje — nie umiem ocenić na jakiej podstawie — że w kraju rolniczym wystarczy 2.000 ludzi na milę kwadratową dla uprawy roli, podczas gdy Galicja liczy ich ponad 3.000. Powtarza jego cyfry W. Janowski, dodając charakterystyczną uwagę: „(ponieważ) 2.000 ludzi jest w stanie obrobić milę kwadrat. dla celów rolniczych, przeto 1.556 ludzi (przy zaludnieniu z r. 1861 — 3.556 ludzi na mil. kw.) na każdą milę kwadratową w Galicji jest przeznaczona do szczytnego powłania fabrycznego i handlowego, ale potrzeba te 1.556 ludzi oświatą i naukami moralnymi za pomocą szkoły i kościoła jak najrychlej naprowadzić do pracy, bo obecnie nawet do robót gospodarskich w niektórych okolicach ludzi otrzymać jest nadzwyczaj trudno".

Tak więc dwory po uwłaszczeniu utraciwszy robotnika pańszczyźnianego znalazły się w trudnej sytuacji. Zbyt częste są w ówczesnej prasie skargi na brak czeladzi i najemnych robotników rolnych, ażeby im nie dać wiary. Możemy nie ufać Kalince, kiedy tak narzeka: „Z każdym rokiem do późnej jesieni widzieć można w Galicji obszerne łany niezebranego, zepsutego zboża, buraki i kartofle gnijące w chwastach, konicze i siana zgnojone. Z każdym rokiem zmniejsza się ilość bydła i głód, straszliwy głód przed drzwiami czeka. Ale on nie ukarze sprawców nieszczęścia, tylko ten biedny, nieoświecony lud, który od rządów dał się wciągnąć naprzód do zbrodni, a potem do nieczynności".

Narzekania Kalinki potwierdza jednak ruski poseł w sejmie galicyjskim, na sesji z 1861 roku, kiedy wzywając szlachtę do zaniechania sporów serwitutowych woła: „Uprasaju Wysokoje Sobranyje, bud'te ludmy, bud'te tymy obywatelamy, szczoste wyrekły holos prawdy i riwnouprawnenyja, prykłonitsia do hołosu prawdy, i pokażit szczo słowom i diłom stwerdyty choczete: a tohda spisnajete, że tohda zamist worohà, budete mały w waszych susidach pryjatela, — a tohda ne budete narikaty, szczo łany waszyj stojat ne zoranyi, ne koszenyi, ne zżatyi".

Niemniej częste były skargi na zanik dyscypliny pracy wśród czeladzi i najemników wiejskich. Co kilkanaście numerów przynosi je stroskany „Czas". Piotr Michałowski, wybrany w r. 1853 prezesem Towarzystwa Rolniczego Krakowskiego w przemówieniu otwierającym ogólne zgromadzenie Towrzystwa mówił o „upadku ludności wiejskiej, która wyrzekłszy się pracy, gardzi darami ziemi naszej i znika z powierzchni tej odwiecznej karmicielki mnogiego ludu. Mała zaś liczba w cnocie i pracy trwających nie zdoła produkcji krajowej do tyla utrzymać, aby pracującym przed drogością chleba ręce nie opadły." (J. A. Lippoman „Pamiętnik Towarzystwa Rolniczego Krakowskiego").

Dlatego w tym warunkach myśl, ażeby nadmiar ludności rolniczej w Galicji skierować do przemysłu, budziła wśród ziemian przerażenie, a klasowa krótkowzroczność górowała nad zrozumieniem konieczności tego rozwiązania. Księdzu Jakubowskiemu dowodzącemu, że „Galicja głównie choruje na brak fabryk i przemysłu, że ma ludność przewyższającą potrzebę rolniczych zajęć, że ma surowe materiały, które przerobienia na miejscu wymagają" i że w tym wszystkich względach przewyższa ona Królewstwo Kongresowe, odpowiadał „Czas":

„Zasada, że kraje mające większą ludność muszą być przemysłowymi jest mylna, statystyka w wielu krajach fałsz jej zadaje. Francja (3.100 mieszkańców na milę kwadratową) jest więcej uprzemysłowiona (oczywiście w r. 1851, przyp. mój) od Niemiec, gdzie mieszka 3.600 mieszkańców na mil. kw. W Irlandii mieszka na mili kw. 6.000 ludzi, a mimo to nie jest ona uprzemysłowiona.

Przekonawszy się z tego, że gdyby nawet drugie twierdzenie autora, jakoby Galicja pod względem potrzeb rolnictwa miała zbytek ludności, było uzasadnione, toby z tego jeszcze nie wynikało... iżby koniecznie fabryczną być musiała. Lecz drugie to twierdzenie autora jest również mylne, jak i pierwsze, dowód, że w Galicji stan rolnictwa nędzny. Gdyby w Galicji był w samej rzeczy, nie mówimy już zbytek... ale nawet dostatek tylko rąk potrzebnych do należytej uprawy ziemi, rolnictwo kwitnęłoby w niej pewnie, a przynajmniej nie znajdowałoby się w tym stanie, w jakim się dzisiaj znajduje. Tymczasem brak robotnika rolnego musi tam być wielki i niezaprzeczony, kiedy mimo, że system uprawy ziemi w Galicji jest jeszcze w większej części dawny i trzechpolowy... właściciele większych zwłaszcza obszarów rzadko tylko zdołają obsiać i sprzątnąć dwie trzecie używanego przez nich gruntu, a uprawić go należycie prawie nigdy nie zdołają.

Twierdzenie przeto szanownego autora, że w Galicji ma być zbytek rąk do uprawy ziemi potrzebnych, jeśli wobec powszechnego prawie narzekania właścicieli ziemi na brak właśnie robotników jest nie ironią... to niezawodnie bardzo śmiałą i nadzwyczajną hipotezą... gdyż taki zbytek upatrzył sz. autor w kraju, którego ludność rolnicza zaledwie do najnędzniejszej uprawy dwóch tylko trzecich części ziemi owej wystarcza". „Gdyby nawet—kończył „Czas" — ludność Galicji była dwa razy liczniejsza, aniby z tego podwojenia ludności nie wyniknął jeszcze zbytek rąk do uprawy w Galicji potrzebnych".

„Czas" w swojej argumentacji miał nie byle jakich sprzymierzeńców. Andrzej Zamoyski rozumowanie swoje przeciwko uwłaszczeniu włościan, a za wieczystym ich oczynszowaniem opierał właśnie na obawie, że uwłaszczenie — „pozbawi rolników znaczniejszych robocizny do rolnictwa większego konieczniej; bo człowiek bez oświaty, bez bodźca silnego do pracy, jakim jest czynsz, mający oraz zmienną poniekąd wymówkę, w którą wierzy, że na własnej grzędzie pożytecznie grzebie, nie chce się nająć do roboty; woli próżnować, chyba go nędza zmusi do pracy na zarobku, jak to ma miejsce w krajach, gdzie własność nadano włościanom, lub w drobne zamieniono gospodarstwa. Ale jakiś wtedy będzie z niego robotnik?... Źle żywiony, nie silny, niechętny, a zatem niepożyteczny; nie godziż się, przewidując taki wypadek, starać się o zapobieżenie podobnym skutkom?" („O własności i dzierżawie ze względu na włościan naszych").

Józef Gołuchowski pisząc „Kwestię włościańską w Polsce" mieszkał pod Opatowem, ale pochodził z Galicji, kształcił się w Wiedniu i w wywodach swoich ujawnia stałą czujność na temat specyfiki stosunków szlachecko-chłopskich w Galicji. Anonim z „Czasu" oraz Zamoyski tylko wygładzili argument, który pod jego piórem wygląda zupełnie cynicznie:

„Ażeby służyć i zarabiać trzeba naprzód być, ażeby służba i robota wyrobnicza szła dobrze, trzeba w wielkiej bardzo liczbie być, inaczej wszystko pójdzie jak najgorzej. Bezpośrednia zapłata wyrobnika i czeladnika nie uczyni jeszcze sama przez się gorliwszego, jak to powszechny przesąd utrzymuje przeciwko pańszczyźnie. — Dopiero liczna konkurencja stanowić może ten bodziec; a liczna konkurencja tam tylko być może, gdzie jest wielka liczba nic albo bardzo mało posiadających, którzy przez to samo zmuszeni są z pracy rąk swoich się utrzymywać. W takim składzie rzeczy, jeżeli najemnik albo czeladnik źle lub niedbale robi, odprawia się go i przedstawia się zaraz kilku innych, którzy jego miejsce gotowi zająć. Właściciel ziemski nie ma żadnego mozołu. Może każdego czasu uczynić wybór pomiędzy najzdatniejszymi i przez nich jak najlepiej wszelkie roboty wykonywać bez hałasu, bez dozoru, bez najmniejszego przymusu. Jest jakiś dozorca niewidzialny, który za niego w najdzielniejszy sposób policją utrzymuje, a ten jest... głód".

Oto jak publicystyka szlachecka kalkuluje korzyści mające się wyłonić dla dworu z powstania rezerwowej armii pracy. Trwożliwa zachłanność tej kalkulacji przewyższa jednak rzeczywistsze możliwości produkcyjne folwarku popańszczyźnianego, ale o to „Czasu" ani filozofa głodem regulującego podaż rąk do pracy głowa nie zaboli. Zważmy ponadto, że w argumentacji tej uwzględniany jest przede wszystkim interes właścicieli latyfundiów, a nie szlachty na średnim folwarku. Bo ta właśnie warstwa szlachty, zanim objęła Galicję w swoje władanie polityczne, zgłasza w tej dyskusji swój interes własny, jako rzekomo najważniejszy interes całego gospodarstwa krajowego.

Mało tego! Po dworach zaczęto myśleć o przymusowych aktach prawnych mających zmusić czeladź i biedotę wiejską do pracy po folwarkach. Kalinka wyskarżywszy się na rozprężenie wśród czeladzi dworskiej dopisuje dosyć tajemnicze zdanie: „Łatwo by temu było zaradzić, gdyby sprężystsze wydano prawa i gdyby energiczniej chciano je wykonywać; bez nich właściciel pozostawiony sobie, napotykając wszędzie niechęci lub złą wiarę, musi koniecznie ulegać, a z nim gospodarstwo całej Galicji supremacji próżniactwa i ciemnoty".

Korespondencje wiejskie „Czasu" całkowicie wyjaśniają to zdanie: chodziło o częściowy nawrót do pańszczyzny. Żądania przymusu pracy folwarcznej w stosunku do niedawnych poddanych pańszczyźnianych, projekty związania tego przymusu z regulacją służebnictw, tak są powszechne w ówczesnej szlacheckiej publicystyce gospodarczej, że E. Kostowski, który je precyzyjnie i pracowicie zestawił („Studia nad kwestią włościańską"), powiada, że „zakrawały one wprost na kampanię zbiorową ziemiaństwa", skierowaną pod adresem władz, by te wprowadziły „przymus pracy mniej lub więcej rozciągły... ażeby produkcję krajową uchronić od zupełnego upadku".

Powstało błędne koło. Chłop nadal buntował się przeciwko zależności klasowej, szlachta nie umiała przejść na gospodarkę najemną i intensywną. Koszta płaciła strona słabsza pod względem gospodarczym i klasowym. Te koszta przedstawimy niżej w odpowiednich cyfrach. Na sejmie krajowym 1861 roku poseł z huculszczyzny ksiądz Witwicki mówił: „Jestem z okolicy znanej ogólnie, z krainy huculów, z Żabiego. Okolica ta niegdyś bogata w chów bydła, dziś mizerna i nędzna, albowiem nie tylko stan gospodarstwa włościan podupadł, ale i głód panuje tak, że dzisiaj gdy nastał przednówek na wiosnę, dzieci się pasły, jak sam widziałem, z głodu trawą, a chłopi przymuszeni są liście bukowego drzewa za pożywienie używać".

Wśród powodów utrudniających rozwój przemysłu w Galicji Janowski wymienia: „Brak sił fizycznych u niektórych ludzi, zwłaszcza na wiosnę, z powodu lichego życia wskutek braku zarobku w zimie, tudzież pijaństwa i nieużywania mięsa, pojawia się w sposób tak uderzający, iż częstokroć dwóch robotników zaledwo za jednego rachować można". Ale w odpowiedzi księdzu Witwickiemu książę Adam Sapieha rozdzierał boleśnie szaty: „Co do materialnej biedy muszę posłom gminnym powiedzieć, że i my cierpiemy i my biedni. Spytajcie się obecnych tu posiadaczy dóbr, kamienic i posiadaczy papierów i mieszczan tutaj obecnych, spytajcie się ich, co mieli lat temu trzynaście, a co dziś mają: a przekonacie się, iż najmniej połowę stracili, bieda jest ogólna".

Wśród tych zupełnie zdumiewających swoimi lękami i projektami polemik całkowicie zginęły arcyrzadkie rozsądne głosy umiejące zniesienie pańszczyzny skojarzyć z własnym, na dłuższą metę określonym interesem szlachty oraz koniecznością uprzemysłowienia kraju. Autorem pierwszego z tych głosów jest wybitny gospodarz, podówczas prezes Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, Kazimierz hr. Krasicki. Do protokołu Sejmu Stanowego 1842 roku wniósł on memoriał, że właśnie w interesie gospodarstwa krajowego szlachty leży zniesienie stosunku poddańczego, by tym sposobem zyskać lepszą siłę roboczą. Krasicki argumentował w sposób następujący:

„Najgłówniejszą przeszkodą, która się napotyka w naszym gospodarstwie, jest niezawodnie brak robotnika. Nie pochodzi to bynajmniej z braku ludności, ponieważ większą część naszego kraju, zwłaszcza zachodnie obwody wcale dostateczną ludność mają. Ale nasz chłopek nie widzi potrzeby pracowania więcej nad to, co jest konieczną potrzebą i powinnością. Wypada to z natury rzeczy, ponieważ włościanin nie mający żadnej własności, nie mogący jej nigdy nabyć, z drugiej strony mając do życia potrzeb bardzo mało, z natury skłonny do lenistwa, najwięcej też ostatniej żądzy dogadzać się stara... Już też na czasie jest, aby to dziecko pełnoletnim uznać, i oddać mu zarząd majątku i nadać kierunek początkowy działania, uważać jednak na jego prowadzenie się, pilnować sumiennego uiszczania się z powinności ku zwierzchności i społeczeństwu, zgoła postawić je w możności odpowiadania majątkiem za swe postępowanie". (Łoziński „Szkice z historii Galicji")

Oto jak spod ojcowskiego tonu wygląda samodzielna parcela, a na niej hipoteka, która zmusi chłopa do pracy. Ale Krasicki przewiduje dalej, że wzmoże się konkurencja pracy, ponieważ lepiej pracujący będzie mógł ziemi przykupywać. A pozbawieni ziemi? „U służebnych zaś komorników itp. powstałaby taż sama chęć do zarobkowania na widok możności przyjścia do posiadania, gdyż dotychczas każdy nieposiadający gruntu tylko tak dalece widział się zmuszony do pracy, aby uczynić zadość swoim codziennym, bardzo małym potrzebom. Nie trwonionoby marnie czasu i sił na próżnowaniu, pijatykach i targach, nie byłoby braku robotnika, a każdy gospodarz byłby w możności udoskonalenia swego gospodarstwa i produkcji. Wszelkie fabryki miałyby dużo łatwiejszy wstęp do naszego kraju".

Autorem drugiego z podobnych głosów jest wielokrotnie zabierający głos w sprawach gospodarczych publicysta i gospodarz Tomasz Potocki. Stanowisko jego bywa jednakowoż dziwaczne i pełne sprzeczności. Teoretycznie rozumie on doskonale konieczność gospodarczą usunięcia pańszczyzny, praktycznie, kiedy mówi o Galicji — wpada w ton Kalinki. Był on bowiem zwolennikiem uwłaszczenia chłopów za odszkodowaniem przez nich płatnym, a wszelka inna forma załatwienia tego problemu przerażała go niemniej od Gołuchowskiego, doszukującego się we wszystkim „fulguracji wulkanicznych nurtującego komunizmu".

Teoretyzuje zaś Potocki tak: „Jeśli gospodarstwo parobkowe przy niewoli jest najgorszym sposobem użycia pracy ludzkiej, zaś przy wolności nie wystarcza wszelkim żądaniom większej uprawy; to znowuż gospodarstwo pańszczyźniane, odpowiednie organizacji feudalnej, właściwe w każdym początkującym, ubogim w kapitały i przemysł społeczeństwie, zdolne przez łączność interesów i opiekę dworską zasłonić od wielkiej nędzy, a tym samym przeszkodzić w powstaniu proletariatu, — z drugiej strony usypia działalność pracującej ludności, trzyma ją w odrętwieniu, szkodzi bogactwu i dobremu bytowi, a przeto nie może być cierpianym w epoce industrialnej. Widzimy, że praca w niewoli i poddaństwie nie może być płodną, że wszelkie jej związanie, zespolenie z kapitałem i ziemią krępuje postęp i tamuje produkcję... Przy pańszczyźnie nie może być przemysłu, nie może być bogactwa, ale też nie ma nędzy; klęski dotykają więcej dziedzica niż podwładnych, gdyż on za wszystkich odpowiadać i przewidywać musi; powszechnie, umiarkowane ubóstwo i ospałość są piętnem panującym. Po zerwaniu zaś tych związków, po przejściu do gospodarstwa pieniężnego zjawia się natychmiast lepsza uprawa, doskonalszy i lepszy robotnik; rolnictwo, jakby z więzów wyswobodzone, ze stanu niemowlęctwa do samoistnego przechodzi". („O urządzeniu stosunków rolniczych w Polsce").

Przecież to całkowity program przejścia progu ku kapitalizmowi w rolnictwie, przejścia od gospodarki feudalno-pańszczyźnianej do pieniężnej, program swoistego pozytywizmu galicyjskiego na bazie szlacheckiej. W obydwu swoich wydaniach pozostał on martwym dokumentem. Bo odpowiedzi w imię interesu stanowego ziemian, nie patrzącego dłużej własnego nosa, udzielił mu Leon Sapieha, kiedy przemawiał na zgromadzeniu Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego. Odpowiedź ta w Galicji pozostała zawsze aktualna:

„Rolnictwo powinno być podstawą naszej zamożności i dobrego bytu. Że takie stanowisko Opatrzność nam przeznaczyła, możemy sobie za szczęście poczytać. W rzeczy samej kraje przemysłowe i handlowe pod świetniejszym na pozór przedstawiają się światłem. W nich raptowniej olbrzymie powstają majątki, lecz obok tego jedna fałszywa spekulacja niszczy najbogatszego. Każda zmiana w stosunkach handlowych, a częstokroć i modzie, tysiące ludzi zatrudnienia i chleba pozbawia. Przy rolnictwie majątki z potem czoła i oszczędnością zwolna zebrane, są stalsze i nie podlegają raptownym zmianom. Słoty, wylewy, posuchy, stosunki handlowe wpływać mogą czasowo na dochody, lecz kapitał zostaje nietknięty. Dziękujmy więc Opatrzności za wydzielone nam dary i starajmy się jak największą korzyść z nich wyciągnąć". (J. Łopuszański „Pamiętnik Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarczego").

To są przyczyny. O ich jaskrawym wyniku mówią statystyki. Mówią tak, że wystarczy powtórzyć ich przerażające cyfry. W roku 1840 Galicja liczy 4.384.903 mieszkańców. W roku 1857 — 4.597.470 mieszkaców. „Jeżeli weźmiemy pod uwagę — pisze Janowski—że w roku 1846 przyłączono do Galicji wolne miasto Kraków z okręgiem, liczące wówczas 150.000 mieszkańców, okaże się, że od roku 1840—1857, czyli przez przeciąg 17 lat, cały prawie przyrost naturalny ginie wskutek niezwykle ciężkich warunków bytu. Trzeba podkreślić, że wówczas nie było jeszcze większej emigracji z Galicji. Nie tylko przyrost zostaje zjedzony, ale ogólna suma zaludnienia spada: r. 1846 — 4.734 tys., r. 1857 — 4.597 tys.

Kazimierz Wyka

*) Fragment rozdziału przygotowanej do druku w ramach III tomu materiałów do dziejów literatury polskiej książki „Teka Stańczyka na tle Galicji w latach 1848—1869".

W poprzednim numerze

Rocznica bitwy pod Lenino świętem wojska polskiego. L. Penciakowa — Wdzięczność. S. Cieślak — „To my i nasza praca". H. Worcell — Spółdzielcy z Bielic. D. Godlewska — W oczach naturalisty. A. Wasilewski — Dwaj poeci Woroszylscy. (Wokół epiki). K. Urbański — Walka o kadry. Po 40-tu latach (w rocznicę śmierci Marii Konopnickiej). S. Schabowski — Ludzie pierwszej kadry. 110-lecie D. J. Pisariewa. J. Trznadel — Książki o ludziach renesansu. W. Natanson — Powieść o francuskiej kolaboracji. I. Skala — Maj ziemi. W. Osmenda, L. Pokora — Dyskusja o kadrach literackich (5). S. Mikulski — W Uninie. A. Daszewska — Janek Podsiadło. J. Bieniek— Bardzo dalekie i wciąż bliskie. Książki KUK. 15 ilustracji. 8 stron.

SPROSTOWANIA

Nazwisko autora artykułu w nr. 41 „Wsi" pt. „Szkoły wyższe w pierwszym roku Planu 6-letniego" ma brzmieć **Ludwik Nortowski**, a nie jak błędnie podano Ludwik Norkowski. Prostując tę omyłkę, redakcja przeprasza autora.

✻

Nazwisko autorki utworu w nr. 39 „Wsi" pt. „Rzeczpospolita szkolna" brzmi Klementyna Sołonowicz -Olbrychska. Nazwisko „Słomczyńska" jest pseudonimem pisarskim autorki.

Czy jesteś już członkiem Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej

KRYSTYNA MICHALIK-NEDELKOVIĆ

DROBNOMIESZCZAŃSKA EPOPEJA

Kipps — bohater powieści Wellsa*), napisanej w roku 1905, jest nieślubnym dzieckiem, wychowywanym przez wuja-sklepikarza w prowincjonalnym miasteczku angielskim. Już od wczesnej młodości spotyka się Kipps na każdym kroku ze snobizmem drobnomieszczan angielskich, patrzących wzajem na siebie nieufnie i niechętnie, i niezmordowanie usiłujących osiągnąć wymarzony ideał bourgeois.

Kipps, zgodnie z tradycją rodzinną, zostaje w młodości praktykantem w sklepie zamożnego kupca, a potem subiektem. Dostrzega on jasno ciężkie położenie swoje i swoich towarzyszy. Jak każdy pracownik, którego długogodzinna praca w ciężkich warunkach wzbogaca bezlitosnego właściciela-wyzyskiwacza, Kipps jest zupełnie zdany na jego łaskę. Nikt się nie ujmie za nim, ani go nie obroni przed utratą pracy i bezrobociem, za którym stąpa widmo głodu i ostatecznej nędzy. Każdy z tych marnie wynagradzanych i przemęczonych niewolników marzy o tym, by założyć własny sklep, by wyrwać się z bezpośredniej zależności od wyzyskiwacza-kapitalisty. Marzenie typowo drobnomieszczańskie i jakże nierealne! Tu Wells przygważdża kłamliwy mit o nieograniczonych możliwościach, stojących jakoby przed każdym pracującym, według gorliwie szerzonej propagandy kapitalistycznej. Jakież możliwości może mieć głodujący biały niewolnik, który ze strachem myśli o bezrobociu, chorobie czy starości! Nieoczekiwany spadek po bogatej ciotce, czy coś równie nieprawdopodobnego, oto jedyne wyjście z tego beznadziejnego wegetowania. Takim spadkiem obdarza Wells swego skromnego bohatera, przed którym teraz otwiera się... droga do szczęścia i wymarzonej pozycji towarzyskiej? Przedstawiając dalsze losy nagle wzbogaconego Kippsa, Wells dobitnie mówi: nie! Pieniądze staną się ciężarem dla ubogiego subiekta, który wszak mówi gwarą ludzi niewykształconych i nie umie obracać się wśród nowych przyjaciół, żerujących na jego dochodzie, podczas gdy do starych druhów przyznać się już mu nie wolno.

W ustroju kapitalistycznym awans społeczny jest niemożliwy, nawet gdy pieniądze torują drogę. Snobizm i kastowość burżuazji angielskiej sprawiają, że droga Kippsa w nowych warunkach jest drogą prawdziwie cierniową. Pogarda i poniżenie nadal mu towarzyszą nieodstępnie, jak to widzimy w jego stosunkach z nową „dobrze urodzoną" narzeczoną, czy chociby w czasie jego pobytu w eleganckim hotelu londyńskim. Kipps ten szary sługa kapitalistów, jest jednak człowiekiem z poczuciem godności ludzkiej. Porzuca wyniosłą narzeczoną, która w nim widzi tylko narzędzie do spełnienia jej ambicyj towarzyskich, wraca do swej pierwszej miłości, prostej dziewczyny, służącej w domach bogaczy. A potem prawie z ulgą przyjmuje wieść, że nagle uzyskane bogactwo równie nagle się skończyło. Wraca do życia drobnomieszczańskiego sklepikarza z zupełnym zadowoleniem.

Dzieje Kippsa, tak jak je Wells przedstawia, mają dziś dla nas dużo niedomówień i łatwych uproszczeń. Autor zapomina (lub pamiętać nie chce) o najbardziej zasadniczej sprawie: Kipps nie jest ofiarą głupoty snobów i ich przesądów towarzyskich, lecz jest ofiarą ustroju kapitalistycznego, bo przesądy i kastowość, to tylko rezultaty panujących stosunków ekonomicznych. Po takich uzupełnieniach znajdziemy w powieści tej wartościowy przyczynek do dziejów drobnomieszczaństwa w ustroju kapitalistycznym, który już zdecydowanie wszedł w fazę imperializmu. Dzieje te, obrazujące bezlitosny wyzysk kapitalisty oraz przedstawiające w pełnym świetle cierpienia wyzyskiwanych, są i dziś ciekawe i pouczające, tym bardziej, że dotychczas jeszcze są one aktualne dla stosunków angielskich.

Zasługą Wellsa jest także realistyczny i pełen prostoty opis ludzi i miejsc, jaki cechuje zresztą wszystkie jego powieści, nie tylko „Kippsa". Fakt, że przedstawia on świat, który był i jego światem najbliższym oraz ludzi, spośród których sam wyszedł, przyczynia się bezspornie do tego, że stronice „Kippsa" tętnią niezafałszowanym życie, a ludzie są ludźmi z prawdziwego zdarzenia. Widzimy bardzo plastycznie cały światek drobnomieszczański, a chyba najwyraźniej (poza samym Kippsem) uwypukla się postać wyzyskiwacza-kupca Shalforda, gnębiciela swych podwładnych. Nie trudno się domyślić, że sam Wells musiał być ongiś ofiarą takich Shalfordów. Nic więc dziwnego, że nie bawi się on tu w fałszywy obiektywizm naturalistów. Zanadto mu leży na sercu los takich Kippsów, za blisko sam w swej młodości stał niesprawiedliwości społecznej, by nie pisać o tych sprawach ze świętym oburzeniem człowieka, dla którego los każdego śmiertelnika jest kwestią pierwszej wagi.

Obok „Tono - Bungay", świetnej i zjadliwej satyry na wielko-kapitalistyczną Anglię, zajmuje „Kipps" i dziś jeszcze należne sobie miejsce, dopełniając obrazu ustroju, który się kończy, popadając w coraz większy rozkład, w coraz większą zgniliznę.

Krystyna Michalik-Nedelković

*) H. G. Wells, Kipps. „Książka i Wiedza", 1949.

UBOŻENIE FARMERÓW W STANACH ZJEDNOCZONYCH

dokończenie ze str. 2

ka spadł z 43 centów do 31 centów w roku 1932. Dodajmy tutaj od siebie, że sprawa ta ma i po wojnie swój dalszy bieg w sensie jeszcze ostrzejszym.

Weźmy inny przykład. Uprawa bawełny jest bardzo rozpowszechniona zwłaszcza w południowych stanach USA. W pomyślnym roku 1929 dochód fermerów ze sprzedaży bawełny wyniósł około 1 miliarda 250 milionów dolarów, ale za to dochód pośredników przy tym interesie wyniósł „tylko" 3 miliardy dolarów; nie siejąc, nie orząc, a dochody mieli większe od najszerszych rzesz producentów. Wielkie koncerny rolne nie potrzebowały tak kosztownego pośrednictwa, to też ich zyski i udział w owym naszym teoretycznym dolarze były bez porównania wyższe niż małych i średnich ferm.

I wreszcie zagadnienie cen pszenicy. W okresie kryzysu lat trzydziestych cena na pszenicę spadła o 68 proc. Natomiast w tym samym czasie cena na mąkę pszenną spadła zaledwie o 40 proc., a na chleb pszenny tylko o 20 proc. Gdzie podziała się reszta? Na pewno nie znalazła się ona ani w rękach robotnika ani w rękach chłopa. Można przypuszczać, że widocznie w tym czasie wzrosły koszty robocizny w młynach, a jeszcze silniej wzrosły w piekarniach. Nie. Płace wówczas nie tylko nie rosły, ale spadały, był to okres wielkiego bezrobocia. Powiększony więc spadkiem cen na pszenicę zysk szedł prosto w większym niż dotychczas rozmiarze do pęczniejącego portfelu kapitalisty. A chłop? Za tę samą ilość pszenicy mógł w roku 1932 kupić dwa razy mniej chleba pszennego niż przed paroma laty, jeżeli w ogóle miał za co zjeść coś innego z pieczywa poza plackami z kukurydzy.

Tak się przedstawiały sprawy w USA w okresie pomiędzy pierwszą a drugą wojną światową. Czy obecne lata powojenne przyniosły jakieś zmiany na tym odcinku? Oczywiście zmiany te są wyraźne, ale jako nieuchronna konsekwencja kapitalistycznego upadku. Postępuje zubożenie podstawowych mas chłopskich. Niszczeją fermy drobne i średnie, zmniejsza się ich ilość. Zamiast wskazanych przez Rochester 580.000 ferm zlikwidowanych możemy już dzisiaj liczbę tę podnieść do 1 miliona. Zamiast 2 milionów wędrownych robotników rolnych ocena fachowców amerykańskich podaje, że w najbliższych latach armia koczujących wczorajszych „samodzielnych", „niezależnych" gospodarzy powiększy się do 4 a nawet 6 milionów osób. W ciągu niedługiej historii Stanów Zjednoczonych utracono w wyniku rabunkowej gospodarki przeszło $1/3$ najżyźniejszych gleb kraju.

Dochód przeciętny drobnego fermera wynosił w roku ubiegłym zaledwie 17 proc. tego, co jest niezbędne dla egzystencji czteroosobowej rodziny amerykańskiej, a więc już nie trzy razy mniej jak w roku 1935, ale sześć razy mniej. Nic przeto dziwnego, że komisja senacka musiała przyznać, że aż 2 miliony 300 tysięcy gospodarstw jest tak małych, że nie mogą one swoim posiadaczom zapewnić dostatecznych środków utrzymania, że inne dane stwierdzają katastrofalny stan zdrowotności wśród ludności wiejskiej w kraju „wszelkiej możliwości".

I ten kraj o tak szalonych dysproporcjach, o wyrafinowanych metodach wyzysku i eksploatacji człowieka przez człowieka, ma iście imperialistyczną czelność wmawiania, że wszystko jest jak najlepiej i ludom świata nie pozostaje nic innego, jak podporządkować się „amerykańskiemu stylowi życia". Starały się wmówić to swym społeczeństwom sprzedajne rządy zachodnio - europejskie i importują na rozkaz swoich amerykańskich mocodawców bezrobocie, kryzys w przemyśle i rolnictwie.

Kiedy Majakowski wracał z Ameryki do Europy z pokładu okrętu, przybijającego do molo w Hawrze widział jak Amerykanie rzucali monety znajdującym się na brzegu chłopcom, kpiąc ordynarnie z zachłanności tych obdartych, często kalekich dzieci biednych ulic bogatego, kapitalistycznego miasta portowego. Wówczas to Majakowski napisał: „Ci nędzarze stają przede mną jako symbol przyszłej Europy, jeżeli nie przestanie się ona płaszczyć przed amerykańskim pieniądzem".

Było to 25 lat temu. Ten smutny symbol — to właściwie rzeczywistość obecna tych krajów, których rządy oddały się w dolarową niewolę. Ten smutny symbol — to jednocześnie trafne określenie sytuacji w samym kraju dolarowej demokracji, gdzie miernikiem wszystkiego jest pieniądz, gdzie dla pieniądza niszczy się miliony istnień ludzkich, gdzie dla pieniądza szykuje się plany nowych szaleństw wojennych.

Jest jednak i w Stanach Zjednoczonych i w krajach od nich zależnych siła niezwalczona, siła ludu pracującego miast i wsi, jednocząca się w międzynarodowej walce o pokój i postęp. Ta siła krzyżuje szyki imperialistom, ta siła uderza w ich najbardziej newralgiczne punkty. I ta siła, siła miliarda ludzi na całym świecie zwycięży.

Tadeusz Orlewicz.

SAMUEL SANDLER

WOBEC SOCJALIZMU*)

W roczniku „Nowin“ z 1878 roku znajdujemy niezwykle interesujące świadectwo wczesnej walki mieszczaństwa polskiego z rodzącym się w kraju ruchem socjalistycznym. Jest to głośny cykl artykułów „Socjalizm i jego błędy“ pióra Świętochowskiego.

Wrzaski na socjalizm rozlegały się już wcześniej w Królestwie Polskim. Ziemianin Giejsztor jeszcze w 1859 roku w broszurze protestującej przeciw projektom uwłaszczania chłopów napominał rząd carski, że są to zamysły socjalistyczne. Były minister w rządzie Wielopolskiego — Kazimierz Krzywicki wykładając w 1872 roku swoje projekty rusofilskie zmierzające do wynarodowienia Polaków argumentował, że ochroni ich to od zniemczenia i socjalizmu.

Zupełnie odmienny charakter nosi wystąpienie Świętochowskiego z około połowy 1878 roku.

Ludwik Waryński usunięty z Instytutu Technologicznego w Petersburgu za udział w zaburzeniach studenckich przed kilkunastoma miesiącami przybył do Warszawy i tworzył pierwsze kółka socjalistyczne wśród młodzieży studenckiej i wśród robotników. Od kwietnia 1878 r. przebywa już stale w Warszawie. Organizuje kasy oporu i kółka socjalistycznej propagandy. Praca rewolucyjna nabiera coraz większego rozmachu. W marcu 1878 r. konspiratorzy otrzymują już pierwsze anonimowe listy ostrzegające w imię patriotyzmu, że nazwiska ich będą zakomunikowane policji jeśli nie zaniechają „zgubnej dla kraju działalności“. W Warszawie pojawiają się pierwsze druki socjalistyczne. Policja carska tropi już polskich rewolucjonistów. Jeszcze w 1877 r. nastąpiły pierwsze aresztowania wśród uczestników studenckich i robotniczych kółek socjalistycznych.

Zadziwiająca była czujność klasowa Świętochowskiego — ideologa burżuazji. Ledwie pojawiły się pierwsze zaczątki ruchu socjalistycznego, zaledwie „widmo komunizmu“ zaczęło krążyć po Polsce, a już widzimy go — na posterunku.

Cykl artykułów o socjaliźmie i jego błędach otwiera niewątpliwie zupełnie [nowy] etap działalności Świętochowskiego. Całe ostrze jego dotychczasowej twórczości publicystycznej i artystycznej skierowane było dotąd przede wszystkim przeciw przeżytkom w życiu i świadomości ludzkiej. Obecnie głównym obiektem walki stanie się to, co się rodzi dopiero, rozwija się i staje się dla jego klasy coraz groźniejsze.

Od sześciu artykułów o socjaliźmie zamieszczonych w „Nowinach“ wiedzie droga do „Wskazań politycznych“ — strwożonego wołania o policjanta carskiego, do projektu autonomii Królestwa pod berłem carskim w 1905 r., do założenia w owym roku rewolucji stronnictwa „postępowo - demokratycznego“ — jawnego sprzymierzeńca kadetów rosyjskich, wreszcie do obozu endecji, którego staje się „niemilknącym kaznodzieją“.

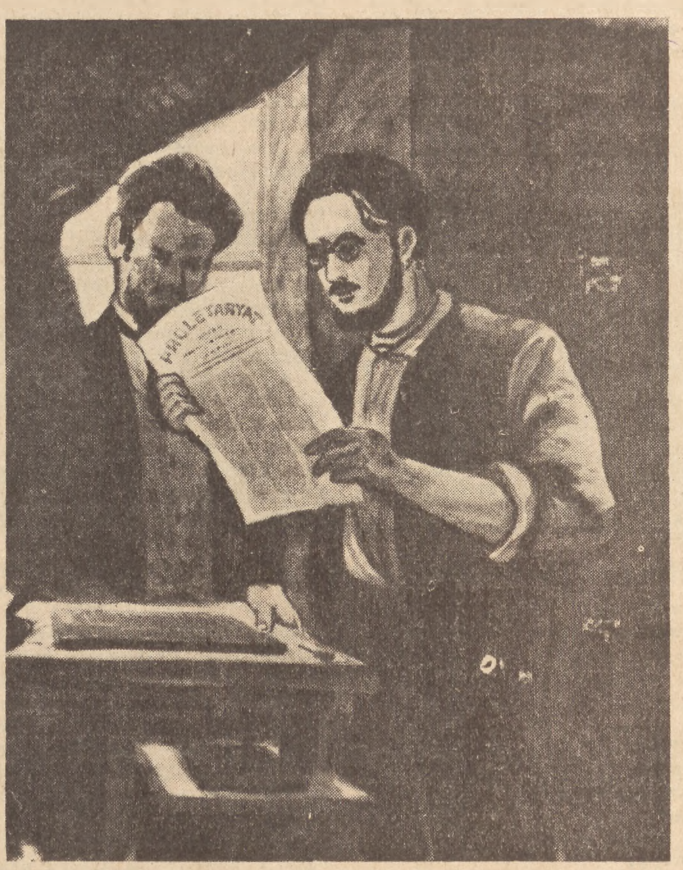
Droga walki przywiodła Świętochowskiego do krwiożerczej wprost postawy wobec rewolucyjnego ruchu robotniczego, wobec komunizmu. W okresie dwudziestolecia oburzy się nasz moralista na „bezprawne“ zabójstwo dwóch „skazanych na banicję“ komunistów przez faszystowskiego policjanta, ale równocześnie dziwić się będzie dlaczego policjanta ukarano sądownie. Przecież jego przestępstwo było dobroczynne dla społeczeństwa.

Daleko odbiegem od omawianego w tej pracy okresu. Rzućmy obecnie okiem na ewolucję jaką przechodziła problematyka robotnicza w publicystyce Świętochowskiego, na drogę, która go przywiodła do przełomowego dlań wystąpienia antysocjalistycznego.

Gdy syn wielkiego komediopisarza — Jan Aleksander Fredro napisał sztukę „Obce żywioły“, w której przedstawia działacza pierwszej Międzynarodówki urządzającego w Galicji „bezrobocia“ (tj. strajki) i zbierającego składki pieniężne na rzecz skazanych na galery komunardów, Świętochowski nie posiadał się z oburzenia. „Bo naprzód — pisał w 1873 r. — jak można okazami wzrosłymi na pewnym gruncie straszyć żyjących na takim, na którym one wzrość nie mogą. Bo czyż podobna przypuścić, ażeby u nas wyrobił się kiedy jako typ ów sekretarz Internacjonałów“. Świętochowskiemu wydawało się to wówczas niepodobieństwem. Uznał „Obce żywioły“ Fredry — syna za fałszywy alarm. To pozwalało mu także w owym okresie mówić ze współczuciem o „martyrologii skazanych komunistów“ (komunardów) i ze zdawkową sympatią wyraża się o socjaldemokracji niemieckiej, o Liebknechcie walczącym zdecydowanie z junkerstwem, niemieckimi narodowymi liberałami i Bismarckiem.

Nawet objawy fermentu wśród bardziej świadomych robotników polskich znajdują w 1874 roku w naszym liberale obrońcę widzącego w tym bunt przeciwko gwałtowi zadanemu prawom człowieka. „To, co nasi przemysłowcy prawią o rewolucyjności ukształconych praktykantów — utrzymywał — jest tylko wykrętnym chrzczeniem głośno się wypowiadających praw człowieka, który sam ciemiężyć się nie da i drugich od ciemięstwa ochraniać pragnie“.

„Zachęty do czytania — pisał dalej w okresie, w którym pierwsze warszawskie grupy radykalnej młodzieży i robotników, wśród których znajdował się młodziutki Wacław Sieroszewski, dobierały się do Milla, Buckle'a i Darwina — do moralnego jednoczenia się, do materialnej przezorności, do zakładania kas — słowem wszystkie objawy wpływów robotniczej inteligencji nie wypływają z pobudek wichrzycielskich, ale są owocem natchnień zdrowych, moralnych i prawdziwie ludzkich. Uczciwy, rozumny i dbały o dobro swych podwładnych kierownik nie lęka się takich bodźców i stosunków, owszem sam im dopomaga, sam na ich czele stoi. Potrzeba być tylko nie ciemnym pyszałkiem, niesumiennym plantatorem wyzyskującym ostatnią kroplę potu robotnika, ale światłym i prawym obywatelem kraju i opiekunem, a wichrzycielstwo inteligencji fabrycznej i kantorowej przeistoczy się w pasmo godnych uwagi i szacunku popędów“. (110).



Pierwszy numer „Proletariatu“ — mal. Ign. Witz

Rzeczywistość kapitalistyczna okrutnie wydrwiła tę wiarę entuzjasty w światłość i prawość burżuazyjnych „obywateli kraju“, ale wichrzycielstwo „ukształconych praktykantów“ i „inteligencji fabrycznej“ nie osłabło, przeciwnie od 1876 roku znacznie się wzmogło, a Świętochowski na sławę i niesławę wiernie służący sprawie burżuazji podjął się rozprawy z socjalizmem z dobrym zrozumieniem ciążących nań obowiązków.

„Podczas gdy kodeksy karne nie pytając o rację głoszonych zasad rozprawiają się z praktycznymi celami socjalizmu, my zbadamy jego grunt naukowy“ — pisał w pierwszym artykule głośnego cyklu. Zadanie było pilne. W łonie Europy rozwijają się bowiem groźne ruchy społeczne, ale najważniejszą dla autora pobudką jest to, że „społeczność nasza“ stoi wobec tych ruchów „zdumiona, zalęknięta“ i gotowa jest widzieć niebezpieczeństwo zupełnie gdzieś indziej niż ono tkwi istotnie. „Pokazały się wprawdzie ostatnimi czasy — notuje — głośno skrzypiące pióra o przestraszanie ogółu krwawym widmem rewolucji, ale narobiwszy gołosłownego łoskotu, nie osiągnęły tego celu, do którego może mierzyły“; należy zagadnienie rozpatrzeć w sposób „naukowy“. Liberał postanowił uzupełnić dzieło policjanta rozprawiającego się „z praktycznymi celami socjalizmu“.

Według Świętochowskiego zadanie polega nie na tym, aby naukowo zajmować się „chorobliwymi potwornościami, które socjalizm w ciemnych umysłach napłodził“, lecz z systemem wyłożonym przez samych koryfeuszy, który „jest fantastycznym gmachem zbudowanym z naukowych mgieł, filantropijnych złudzeń, z pożądliwych słów nędzy ludzkiej, ze wszystkiego wreszcie co tylko filozofujące marzycielstwo płodzi“.

Uzurpowanie sobie przez koryfeuszów socjalizmu pretensji do naukowości wymaga właśnie takiego postawienia sprawy. I dlatego jeżeli jakikolwiek obóz to przede wszystkim „chorągiew naukowo - postępowa powinna dbać o to, ażeby jej godła z godłami umysłowej dzikości się nie mieszały“. Bo nie jest winą mistrzów wiedzy, „że z ich nauki powstali komuniści“, gdyż z tych samych źródeł, z których postępowcy uczyli się praw swobodnego rozwoju jednostki, socjaliści uczyli się „przykrojenia jej na wspólną miarę społecznej grupy“.

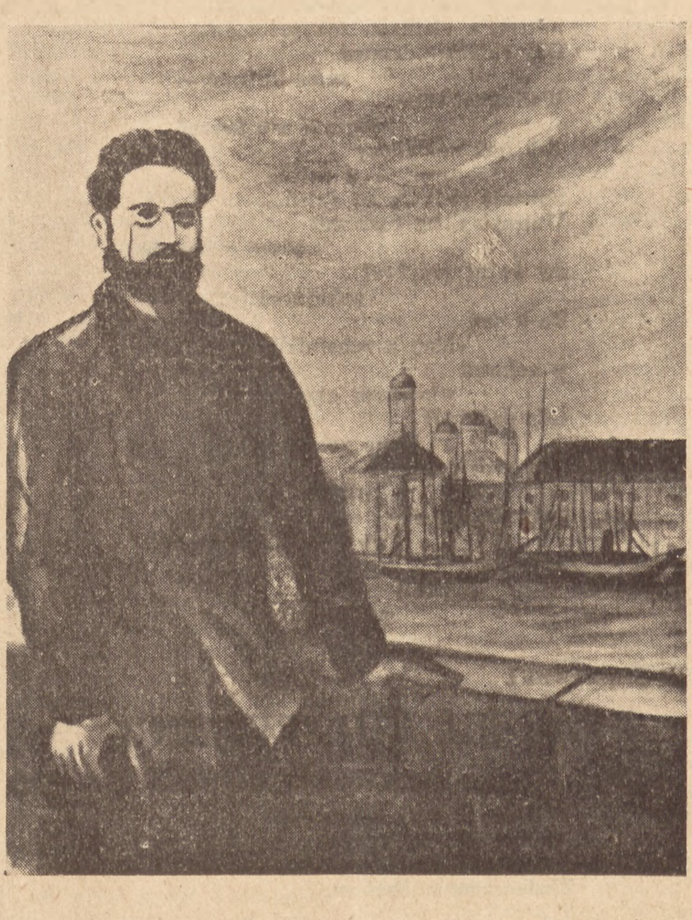
Rozprawa z socjalizmem była „wszechstronna“. Pierwszym dowodem najbardziej naocznym błędności tego kierunku jest to, że — podziwiajmy jednak spostrzegawczość Świętochowskiego! — „zawsze najgłębsze zapuszczał korzenie w najniższych warstwach społecznych“.

„Równość“ genewska zarzucała temu „uniwersalnemu“ krytykowi socjalizmu w zwykłą ignorancję w zakresie wiedzy o tej ideologii. Była to jednak wyrozumiałość ze strony rewolucjonistów. Bo artykuły „Socjalizm i jego błędy“ były jeszcze jednym pospolitym oszustwem tak znamiennym dla „pogromców“ ideologii socjalistycznej. Pod paszczykiem naukowości autor po prostu zafałszował jej istotne oblicze; chodziło mu nie o naukową krytykę kierunku, ale o rozprawienie się z nim. I jak przystało na burżuazyjnego publicystę podjął najłatwiejsze zadanie: przedstawił „socjalizm“, który nic wspólnego nie miał z socjalistyczną teorią.

A więc według niego socjaliści zamierzają po rewolucji osłodzić życie kapitalistom, którym skonfiskują środki produkcji, przez przyznanie im odszkodowania za straty. „Gdyby zaś kto nie chciał dobrowolnie ulec nowej ustawia, wtedy... Co by wtedy nastąpiło mistrze socjalizmu wyraźnie nie mówią, ale za to ciemna ich rzesza nie pozostawia żadnej wątpliwości“.

Socjaliści — w myśl „naukowej“ krytyki — żądają ponoć równości społecznej w imię zamierzchłych praw rządzących gromadą pierwotną, równocześnie zaś równość społeczna, którą głoszą jest jaskrawą nierównością, bowiem nie uwzględniają tak elementarnego faktu, jak nierównomierność uzdolnień ludzkich. Socjalizm jest w samym swym założeniu sprzeczny z naturą i antyintelektualny. Przyjmując jako kryterium wartości wytworu ludzkiego włożony weń czas pracy, jakże może np. ocenić dzieło pracy umysłowej, trud uczonego i artysty. Słowem — podobnie jak inne systemy społeczne „są filozofią głowy lub serca, tak on jest filozofią żałądka“.

Dla ostatecznego pognębienia nienaukowości i absurdalności systemu



Kunicki w Petersburgu — mal. Ign. Witz.

socjalistycznego, Świętochowski ma jeszcze wiele argumentów. Wymienię już tylko jeden. Jakże niedorzeczne są roszczenia równościowe socjalistów! Co by na przykład odpowiedzieli — pyta zwolennik darwinizmu—„pierwszej lepszej małpie, gdyby spytała dlaczego ją wydziedziczono, ona także posiadać pragnie i ma prawo“.

Po tych małpich figlach burżuazyjnego publicysty podążmy za jego wyobrażeniami o ustroju socjalistycznym. Jest to projekt olbrzymiej maszyny społecznej, „której ludzie byli by wprawionymi w pewną konstrukcję kulkami, zmuszonymi wykonywać takie tylko ruchy, jakie z układu i działania całości na każdą jej cząstkę przypadają“. Ze świata trzeba by usunąć wówczas wszelkie przypadki, nieprzewidziane wydarzenia, „całą naturę zakuć w najściślejszą jednostajność, a ludzi przerobić według wspólnego modelu“. Człowiek będzie musiał wyrzec się wszelkich osobistych dążeń, celów, potrzeb i upodobań; musiała by zamilknąć wszelka różnorodność zdań. „Każdy byłby obowiązany stosować się do przepisanych norm myślenia i działania, nie mieć własnych planów, nie obierać własnych dróg. Jedyną oryginalnością osobnika była by większa lub mniejsza zdolność wypełnienia społecznej woli, a jedyną swobodą — możność fizycznej pracy i spożywania jej owoców“. Socjalizm jako system społeczny byłby ustrojem powszechnej niewoli. Jako system naukowy jest w nauce nieprawdopodobną bajką, fantastycznym marzeniem, jako ustrój społeczny byłby olbrzymią maszyną produktów spożywczych, systemem „jednakowych kojców do tuczenia człowieczego ciała“.

W tej „dogłębnej“ krytyce socjalizmu, jaką dokonał Świętochowski nie musimy szukać ukrytej apologii kapitalizmu. Sam otwarcie się do niej przyznaje. O urojonym przez „filozofię żołądka“ ustroju pisze on w następujący sposób: „Nie błyszczy tam ani jeden promień tego duchowego słońca, które dziś nad życiem narodów świeci (podkreślenie moje S. S.), nie ma ani jednej z tych sił, które naprzód popychają“. A sile takiej na imię prywatna własność i współzawodnictwo— jak eufemistycznie nazywa wolną konkurencję. Przyznaje Świętochowski z „całą otwartością“, że w życiu społecznym pojawiają się jeszcze zjawiska „istotnie smutne“, nie chce także odmawiać „ubóstwu słusznej skargi, ale też nie możemy bez namysłu pozwolić wśród najszaleńczej burzy przewieźć się na wątłej łódce równości do fantastycznej wyspy socjalistycznego państwa“.

Liberalny i pozytywistyczny krytyk socjalizmu ma swój własny „trzeźwy“ program. Ludzkość w swym rozwoju dąży nieustannie ku wyższym formom współżycia. Przed tysiącem lat było na świecie o wiele gorzej niż obecnie. „My troszcząc się o wyrównanie społecznych przedziałów — oświadcza — pragniemy zbogacać biednych, oświecić ciemnych, wznieść niskich, socjalizm przeciwnie — stara się zubożyć bogatych, ociemnić oświeconych, poniżyć wysokich“. W ostatecznej konkluzji socjalizm jest wsteczny, a nasz ideolog — „naukowo - postępowy“.

Typowi krytyki socjalizmu z 1877 roku Świętochowski pozostał wierny przez całe życie. W ten sposób krytykował rewolucyjny ruch robotniczy w „Prawdzie“, tak też w endeckim „Kurierze Warszawskim“, „Gazecie Warszawskiej“ i w „Myśli Narodowej“.

U schyłku swego długiego żywota, w r. 1929, kiedy jego nienawiść do socjalizmu wzrosła odpowiednio do postępów, jakie ten poczynił w skali światowej i w Polsce, Świętochowski pisał: „Jest to (socjalizm — przyp. mój S. S.) pozbawiony mocnego i trwałego oparcia, wisi w powietrzu, prędzej czy później musi upaść i rozbić się nie dlatego, że burzy obecną organizację społeczną, że się sprzeciwia kapitalizmowi, ale dlatego, że się sprzeciwia naturze, która jest jedyną potęgą nie poddającą się żadnym gwałtom“.

Dygresją w dalekie dla zakresu pracy lata pragnąłem uwydatnić zasadniczą drogę, jaką kroczył Świętochowski od obrony postępowych form społeczno - gospodarczego przewrotu kapitalistycznego, który dokonał się u progu jego działalności, do obrony ustroju, który do ostatecznych granic doprowadził system wyzysku i ucisku człowieka przez człowieka.

I podobnie jak mało młody autor manifestów pozytywistycznych świadom był źródeł swych postępowych dążeń i postulatów, w równej mierze nie rozumiał dialektyki rozwoju, która przywiodła go obiektywnie jako ideologa burżuazji polskiej na przednie pozycje obrony najciemniejszej reakcji.

Samuel Sandler.

*) Drukujemy dalszy fragment rozprawy o Aleksandrze Świętochowskim. Por. „Wieś“ Nr. 33.

Leszek Bakuła

Włoskie róże

Kwitną czerwone róże,
kwitną brukowce czerwone.
Krwi robotniczej strumyki
wsiąkają we włoską ziemię.

Czerwone pasemka piersi,
czerwone serca pasemka
ciekną, ciekną czerwone.
Włoszka w nich macza kolana.

Aż zbierze się pod skorupą
Modeny, Rzymu, Palermo
krwi robotniczej Wezuwiusz,
krwi chłopskiej gorąca lawa,

Aż — buchną w niebo wulkany
krwi robotniczej i chłopskiej,
wypłyną pasemka z piersi,
wypłyną serca pasemka.

Zakwitną kamienie czerwono,
zakwitną czerwone róże
na włoskich brukach i polach.
Okwiat to będzie ostatni.

BRONISŁAW CIRLIČ

NIEMILI I NIEKOCHANI

„Kto w boju o wolność polegnie, ten nie umiera!“

(Ch. Botew)

W wilgotną i pochmurną noc, opustoszałymi ulicami rumuńskiego miasta Braily, spowitymi zimną, grudniową mgłą — bułgarski pisarz Iwan Wazow, w swej powieści „Niemili i niekochani“*) prowadzi nas pod koniec 1870 roku do „Narodowej Gospody Chorążego“, do „chyszów“, biednych i pogardzanych członków



Iwan Wazow

partyzanckich drużyn antytureckich i tych, co „uciekli przed stryczkiem, więzieniem i gwałtem tureckim“. „Niemili i niekochani“ Wazowa to zespół bojowników o określonej ideologii rewolucyjnej, świadomych celów swej walki. Bojowników Wazowa łączy na obcej ziemi wspólne umiłowanie Ojczyzny i tęsknota za nią; wspólne troski dnia codziennego; wspólna chęć poświęcenia się i walki dla Ojczyzny i wyzwolenia jej spod podwójnego jarzma: ucisku narodowego i ucisku ekonomiczno-społecznego feudalizmu tureckiego.

Powieść Wazowa ujmuje jasnym poglądem na sprawy, patosem walki, rewolucyjnym romantyzmem postaci. Wśród samej emigracji bułgarskiej w Rumunii przeprowadził Wazow niedwuznaczny podział klasowy. Po jednej stronie rewolucyjni emigranci bułgarscy — „komunary“, bojownicy i bezimienni szeregowcy: kilku piekarzy, kilku szynkarzy, ogrodnicy, ceglarze, drobni kupcy i robotnicy: bezrobotni, którzy żyli z jałmużny drugich, prawie tak samo biednych jak oni, z nieuniknionymi dniami głodu w każdym tygodniu; rodzaj nowego i głodnego proletariatu, złożonego z bohaterstwa, łachmanów i sławy; ludzie, dla których domy, sklepy, kieszenie i serca pozostawały zamknięte“. Po drugiej stronie „czorbadżije“— bogaci kupcy, emigranci, którzy co prawda też tęsknią za rodzinnymi stronami, ale dbają tylko o własne gardła i własne interesy. Są to „narodowi wyzyskiwacze“. „Czorbadżije piją pot biedaków, i zanim się zabierzemy do Turków — powiadają bezdomni rewolucjoniści — chyszowie — trzeba ich wyciąć w pień. Innej rady nie ma! Czorbadżije to zdrajcy i wyzyskiwacze! Musimy zorganizować drużynę my sami. Kapitaliści są przeciw, ale obejdziemy się bez nich.“

Oto treść rozmowy jednego z przywódców ruchu narodowo-wyzwoleńczego, W. Lewskiego, z chłopami okręgu sofijskiego podczas zakładania komitetów rewolucyjnych:

„— Baj Wasyle, a kto będzie królem, jak się odrodzi Bułgaria?

— Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy się bili tylko po to, żeby mieć króla. Przecież i teraz mamy sułtana. Nie pan nam jest potrzebny, a wolność i równość pomiędzy ludźmi! — odpowiedział nachmurzony.

— A ty, jaki wtedy weźmiesz sobie urząd? Tobie przecież należy się najważniejszy.

— Żaden. Pójdę do innych narodów, które są w niewoli i będę robił to samo, co tutaj robiłem.“

Swą powieść „Bezdomni“ (w polskim nieścisłym tłumaczeniu „Niemili i niekochani“ pisał Wazow w roku 1883. Jest to zaranie burżuazyjnej niepodległości bułgarskiej: na północy już istnieje Księstwo Bułgarskie, a na południu, na mocy Układu berlińskiego z września 1878 roku, powstała autonomiczna Wschodnia Rumelia ze stolicą w Plowdiwie. Tu jest i Wazow. Jest posłem do sejmu autonomicznej gubernii i członkiem tzw. Stałego Komitetu. Z bliska widzi jak się rzuciła na wynędzniały lud bułgarski bogata kupiecka-rzemieślnicza burżuazja, kapitaliści, wielcy kupcy i pierwsi przemysłowcy. Ideały burżuazyjnego demokratyzmu Odrodzenia poszły do lamusa. Pisarz-realista, dobry, wrażliwy i uważny obserwator, szczerze i głęboko kochający swój kraj i naród, nie mógł nie zauważyć przeciwieństw swych czasów. Smaga zło i wady, co prawda wstydliwie, ale jednak wyraźnie, jaskrawo przeciwstawia kapitalistycznej współczesności ideały burżuazyjno-demokratycznego Odrodzenia i to jego najbardziej radykalnego odłamu. Z lat 1880 — 1883 cofnął się do lat 1870 — 1871 i 1876. I to nie do bogatych kupców, lecz do radykalnego Botewa i Lewskiego i ich towarzyszy — chyszów, bezdomnych rewolucjonistów, uwieńczonych „sławą najwyższą — nieuznaną i pogardą zbrukaną“, tam odnajdując poszukiwanego bohatera. Chociaż w sejmie przecież zasiadł Wazow z tymi, których potępiał, w dziele swym opowiedział się właśnie po stronie owych pogardzanych „komunarów“, którym przyświecała wielka idea. Uczynił to przede wszystkim właśnie na kartach swych „Bezdomnych“, tej małej, bezpretensjonalnej, ale jakże pięknej i wzruszającej książki o bojownikach o wolność i sprawiedliwość społeczną, przepojonej patosem bojowym i rewolucyjnym romantyzmem.

Kreśląc sylwetki bądź to szeregowców, którym lwią część dzieła poświęca, bądź to przywódców: „Ten prosty turecki pisarz, pokazał światu, czego może dokonać entuzjazm wielkiej idei, która powołała tę postać do życia. Bo wbrew temu, co powiedzieliby o nim sceptycy, Lewski jest wyrazem siły, która wytrysła z całych wieków męczeństwa, z całego oceanu poniżenia. Przez siedem lat krążył po Bułgarii, odwiedzał miasta i wsie, organizował w nich komitety, nauczał, pobudzał ducha, groził kapitalistom, dysputował z uczonymi, drażnił Turków. Wytrwałość jego graniczyła z nieprawdopodobieństwem, a upór z szaleństwem. Władze zmęczyły się prześladowaniem go, ale on nie zmęczył się czynieniem im na przekór. Przekonał nie wierzących (w zbrojne powstanie), obudził tych co spali. Bezsilny pozostał jedynie wobec zdrady..“

Profesor Uniwersytetu Sofijskiego, Petr Dinekow, tak ocenia powieść Wazowa:

„Ma ona szczególny urok dla każdego bułgarskiego serca. Wskrzesza przed nami jedną z najwznioślejszych epok naszej historii — epokę walk o odzyskanie niepodległości. Do dzisiejszego dnia nie mamy piękniejszego i prawdziwszego opisu życia rewolucyjnej emigracji w Rumunii. Powieść ta jest dziełem żywym, emocjonującym, przenikającym głęboko do serca, dziełem, które zawsze czyta się z niesłabnącym zainteresowaniem. Jest owiana atmosferą epoki przedniepodległościowej z jej bojowymi porywami, z dealizmem i dążeniem do politycznej niezależności oraz socjalnej prawdy, z jej gotowością do ofiar i wyrzeczeniem się siebie w imię wielkiego ideału wolności. W utworze tym Wazow dał wyraz swemu głębokiemu współczuciu w stosunku do wszystkich bezdomnych, odrzuconych i utrudzonych bojowników o lepsze i szczęśliwsze życie i otoczył ich szczerym podziwem i szacunkiem.“

Ale „Niemili i niekochani“ Wazowa mają wiele uroku dla każdego, nie tylko dla bułgarskiego serca. Wszędzie tam, gdzie się toczyła lub toczy walka o wolność i sprawiedliwość społeczną, książka ta wzrusza, uczy, pomaga.

Bronisław Cirlić

*) Iwan Wazow: „Niemili i niekochani. Przekład z bułgarskiego Heleny Bychowskiej. Warszawa 1949, wyd. Państwowego Instytutu Wydawniczego, str. 131.

Dyskusja o kadrach literackich (6)

BRONISŁAW CHĘCIŃSKI

PRAKTYKA KLUBU „PRZEŁOM"

1) DROGA KLUBÓW LITERACKICH

Racja istnienia robotniczych klubów literackich i ich szerokiego rozwoju, opiera się przede wszystkim na pracy samokształceniowej ich członków. Głównym zadaniem jest z jednej strony zasilenie kadr literackich nowymi pisarzami, którzy wynosząc z mas ludowych bezpośredniość spojrzenia społecznego i bezpośredniość kontaktu z twórczymi elementami w życiu mas, ułatwią realizację zadań, stojących przed socjalistyczną literaturę; a z drugiej strony umożliwienie utalentowanym jednostkom awansu pisarskiego i przyspieszenie go. Jedno zadanie z drugim się pokrywa.

To się wiąże z zagadnieniem masowości klubów literackich i ich hierarchiczną organizacją. Łatwiej młodemu robotnikowi będzie trafić do klubu we własnej świetlicy fabrycznej, niż np. do redakcji pisma, zawalonej swoją bieżącą robotą. To znaczy, że w klubie, gdzie będzie należycie zorganizowana praca samokształceniowa, znajdzie się on pod działaniem stałego, uświadamiającego wpływu. Na należytą uwagę zasługuje więc pierwszy stopień klubów literacko-dyskusyjnych i samokształceniowych, przy świetlicach miejskich i wiejskich. Dzięki nim instytucja klubów będzie mogła jak najszerzej zapuścić korzenie i sięgnąć do społecznego gruntu.

Przed tak pojętymi klubami literacko - dyskusyjnymi podstawowego stopnia, wobec ich masowego charakteru, stoją zadania specjalne. Koła te powinny stać się motorem życia kulturalnego na własnym terenie, inspirować urządzanie imprez artystycznych i dbać o ich poziom, redagować gazetki ścienne, organizować odczyty przyjezdnych prelegentów. Praca samokształceniowa powinna tu polegać na wspólnym zaznajamianiu się z cenniejszymi książkami z literatury klasycznej i współczesnej, polskiej i obcej przez kolektywne omawianie przeczytanych pozycji. Czynnikiem wiążącym z kulturalnym tętnem dnia bieżącego, będzie tu obowiązkowe czytanie prasy społeczno-literackiej.

Dopiero na tle tak pojętej i zorganizowanej pracy, mogą się właściwiej zarysowywać zamiłowania literackie i wyodrębniać indywidualne uzdolnienia, zasługujące na przekazanie ich dalszej właściwej opiece.

Terenem pierwszych prób literackich i publicystycznych mogą tu być wspomniane już gazetki ścienne, oraz korespondencje do pism stołecznych i dzielnicowych. Właściwa działalność klubów świetlicowych przyczyni się do wyszkolenia dobrych aktywistów akcji kulturalnej, a rzeczywiście uzdolnionym literacko umożliwi w dalszej konsekwencji przejście do pracy dziennikarskiej, lub działalności literackiej.

W klubach wyższego stopnia, skupiających wyróżnionych w świetlicowych kołach, czy klubach literacko-dyskusyjnych, będzie można myśleć o pielęgnowaniu ujawnionych już zamiłowań literackich. Będą to terenowe kluby literackie w większych miastach, których członkowie będą się rekrutowali z utalentowanej młodzieży ze szkół średnich i wyższych, pochodzenia chłopskiego i robotniczego, oraz z awansujących robotników, opracowujących swoje pamiętniki i doświadczenia w pracy, czy też poświęcających się próbom literackim innego rodzaju.

Samokształcenie w tych klubach powinno już mieć charakter regularniejszej pracy, a nawet w pewnych wypadkach przechodzić w system kształcenia pryz pomocy zorganizowanych odczytów literackich. Praca w tych klubach powinna przechodzić od zaznajamiania z literaturą, do pracy nad wyjaśnianiem i ugruntowywaniem pojęć i zasad estetyki marksistowskiej i realizmu socjalistycznego. Nie znaczy to, aby w kołach literacko-dyskusyjnych, czy klubach samokształceniowych pierwszego stopnia, miano o tym nie mówić. W terenowych klubach literackich, wyższego stopnia, należy jednak te pojęcia pogłębiać i ściślej konfrontować z podejmowanymi próbami literackimi.

W żadnym wypadku praca klubu literackiego nie powinna się ograniczać do czytania na wieczorach własnych utworów i kameralnej dyskusji na ich temat. Własne próby literackie powinno się tu zawsze konfrontować z utworami na łamach postępowych pism i podciągać pod ich artystyczną i ideologiczną linię. Niektóre utwory powinny być przykładowo brane pod szczegółową krytykę, poddawane rozbiórce, zwrotka za zwrotką, ustęp za ustępem, a następnie przepracowywane przy udziale kolektywnego wysiłku i oczywiście pod czyimś fachowym kierownictwem. W ogniu kolektywnej krytyki, przy wykorzystaniu jej rzeczowych wskazań, łatwiej będzie młodemu autorowi znaleźć drogę, właściwe środki artystyczne i pion ideowy w swoich próbach literackich.

Na ludziach kierujących pracą klubów literackich spoczywa zadanie celowej inspiracji w poczynaniach klubowców. Powinii oni umieć wyczuć i określić u nich najwłaściwsze możliwości, z których sami piszący często nie zdają sobie sprawy. Zadaniem tej inspiracji będzie między innymi powstrzymanie nagminnego u początkujących, owczego pędu w kierunku poezji. Rodzaj ten staje się najczęściej terenem rozpaczliwych i w większości bezowocnych wysiłków, wyładowujących się w dosłownej grafomanii.

Trzeba umieć wyczuć i ocenić, podłoże grafomanii, czy stanowi ona zjawisko typowe kompletnej niezdolności do artystycznego sprecyzowania swoich myśli, czy też jest wynikiem nie należytego czy niedostatecznego jeszcze przygotowania. Może się zdarzyć, że ktoś spłodzi dziesiątki nieudolnych utworów, nim wreszcie napisze udatniejszy wiersz, który w jego pracy może się stać początkiem właściwej drogi. Zagadnienie to zasługuje na obszerniejsze omówienie, na które w niniejszym artykule nie ma miejsca. Poruszyłem go pobieżnie, aby wskazać rzecz, na którą każdy zainteresowany u początkujących, na terenie klubów literackich się natknie.

Wracając do metod inspiracji i wskazywania właściwych dróg, powinno się pamiętać o możliwościach często nie docenianych u siebie, przez początkujących. Skłonni są oni lekceważyć tak cenne rodzaje literackie, jak dobry reportaż, artykuł, proza dokumentarna, wspomnienia i pamiętniki na tle własnych doświadczeń społecznych, opowiadania, osnute na tle konkretnych zdarzeń w życiu fabryki itp. Początkującym adeptom pióra, skłonnym opierać się na samej poezji, trzeba nieustannie wskazywać na tamte rodzaje i ich wartości.

Zdolniejsze jednostki z klubów II stopnia należy kierować do klubów przy oddziałach Związku Literatów. Sposób kształcenia przybierze tu już formy wykładów, pogłębiających ogólną i literacką wiedzę teoretyczną, naświetloną najnowszymi osiągnięciami marksistowskiej teorii literatury. Na tle tej wiedzy, młodemu pisarzowi będzie łatwiej, w sposób bardziej samodzielny i odpowiedzialny, pogłębiać swoją twórczość.

Ten ustopniowany sposób organizowania życia i pracy klubów literackich jest konieczny, z jednej strony dla lepszej selekcji napływających sił, a z drugiej, dla szerszego oddziaływania i szerszego zakresu pracy szkoleniowo-wychowawczej. Dla usystematyzowania tej akcji, która oddolnie przybierze niewątpliwie charakter masowy, konieczne jest ustalenie jakichś ram, jakiegoś ogólnego schematu organizacyjnego. Proponowana trójstopniowość klubów, a więc: 1) kluby literacko-dyskusyjne i samokształceniowe przy świetlicach związkowych, 2) kluby literackie terenowe, w większych miastach, dla zaawansowanych, 3) kluby lub studia przy poszczególnych oddziałach Związku Literatów, stanowi tu raczej schemat orientacyjny.

2) PRAKTYKA KLUBU „PRZEŁOM"

Od tych ogólnych założeń spróbujmy przejść do naszej niebogatej praktyki w tej dziedzinie. Za przykład weźmy pracę i działalność jednego z najpierwszych klubów literackich. Jest nim zorganizowany blisko półtora roku temu klub pod nazwą „Przełom", istniejący przy Związku Parcowników Samorządowych w Łodzi. Aspiracje jego wyrastają wyżej ponad klub literacko - dyskusyjny I stopnia, mimo, że skupia on element bardzo różnorodny. Zastanówmy się w jakim stopniu praca tego klubu czyniła zadość postawionym zadaniom.

„Przełom' ma już za sobą dwadzieścia kilka wieczorów dyskusyjno-literackich, oraz wielką ilość wewnętrznych, tzw. roboczych zebrań. Ilościowo klub ten sięgał kilkunastu członków, w tym kilku bardzo aktywnych. Na zebraniu organizacyjnym 27 maja 1949 r. ustalono następujący plan pracy: 1) urządzanie posiedzeń dyskusyjnych na tematy literackie, 2) urządzanie zebrań samokształceniowych dla członków klubu, oraz spotkań z literatami łódzkimi, 3) redagowanie gazetki ściennej „Przełom", 4) współpraca z czynnymi sekcjami świetlicowymi, oraz współpraca literacka, kronikarska z pismami „Związkowiec' i „Samorządowiec', 5) przyjęcie patronatu ZLP.

Jak widzimy niektóre punkty pokrywają się z ogólnymi zadaniami klubów literacko-dyskusyjnych. Czy klub dążył do właściwej realizacji tych postulatów i w jakiej mierze mu się to udało. Deklaracja programowa pełna niejasnych uogólnień, świadczy o tym, że było to dla klubu bardzo trudne. W deklaracji tej czytamy: „— Na realizację oczekuje projekt urządzania wieczorów dyskusyjnych, autorskich, ewentualnie wymiany imprez z innymi świetlicowymi ośrodkami.' Tu jeszcze wiadomo o co chodzi, ale dalej: — „Opracowywanie zagadnień dnia i poszukiwanie w tragicznym patosie Przełomu elementów, budujących optymizm i podsycających tę radość, która jest nam dostępna, to również zadanie klubu literackiego. Wypełnimy każde, postawione sobie zadanie (gdyż w literaturze nie ma rzeczy niemożliwych), lecz musimy chcieć i musimy dysponować siłą, zespołem mózgów, a przede wszystkim serc. Był czas, że literaci stanowili jakby sektę, tworzyli luźne zespoły osobników, obarczonych talentem, toczących boje homeryckie z nawałą zagadnień społecznych, lub snujących się po drogach i krajach w poszukiwaniu przygód Don Kichota. Istota przeżywanego Przełomu, polega na tym, by każdy umysł był otwarty dla Postępu i obejmował szerokie płaszczyzny zagadnień. Dlatego właśnie rola Klubów Literackich jest ważna..."

Jest tu wiele ...słów, a za mało konkretnych sformułowań.

Do zrealizowanych w pewnym stopniu punktów programowych „Przełomu" należy wydanie kilkunastu n-rów gazetki ściennej, zorganizowanie w ramach akcji samokształceniowej, konkursu recytatorskiego, nawiązanie kontaktu z Kołem Polonistów U. Ł. i ZLP., urządzanie stałych wieczorów dyskusyjnych. Należy jednak szczerze powiedzieć, że jedno z najważniejszych zadań klubu — samokształcenie, realizowane było zupełnie niewłaściwe. Sposób dyskusji był błędny, nie marksistowski. Znalazło to odbicie w dyskusjach nad czytanymi utworami członków klubu. Terminologia jest tu pełna mglistych, idealistycznych pojęć i słów wprost bez znaczenia.

„Liryczny nastrój, refleksyjność, skojarzenie środków artystycznych przy zastosowaniu efektów psychologicznych — wiersz pełen liryzmu i potoczystości — efekt moralny i ogromna uczuciowość — usiłowano dotrzeć do sedna myśli autora, komentując na różny sposób fragmenty — zakochana chmura w słońcu — miłość rozpływa się z nadmiarem rozkoszy i pozostawia w końcu łzy... — oto zwroty zaczerpnięte z niektórych sprawozdań. Pomijając fakt, że cała ta napuszona gadanina jest niedopuszczalnym anachronizmem, usiłuje ona brzmieć tonem serio w odniesieniu do utworów często zupełnie nieudolnych. Zbyt poważnie mówi się o „środkach ekspresji i realizmie...", o formie artystycznej w wypadkach, gdy utwór jest zlepkiem wyszarzałych frazesów.

Na nieodpowiedniej płaszczyźnie jest postawiona współpraca z Kołem Polonistów, ograniczająca się również niemal do dyskusji nad próbami poetyckimi klubowców. Tu znów zbytnia naukowość, zbytnia odległość ujęć polonistycznej krytyki, sięgającej do porównań formalnych z Mickiewiczem, nie przyczynia się do konfrontacji literackich prób z praktyką współczesnej poetyki i problematyką społeczną, gdy chodzi o utwory bardziej udatne.

Praca samokształceniowa klubu opiera się tu wyłącznie na dyskusjach nad własnymi utworami, ściślej wierszami. Na jednym wieczorze czyta się po 7—8 wierszy przez 2—3 autorów, dyskusja odbywa się nad każdym autorem. Jest ona z konieczności pobieżna i hamowana względami koleżeńsko - grzecznościowymi. Z tego też powodu trudno tu dojść do należytych metod samokształceniowych. Krytyka łagodna utwierdza w błędach, próby zbyt ostrej znów krytyki, „zjeżdżającej", rodzą niechęć i upór w młodych autorach.

Należałoby tu zastosować próby rozbioru krytycznego i kolektywnego przepracowania danego utworu. Jeden wieczór poświęcić dla jednego wiersza. Może to mieć miejsce co jakiś czas, pomiędzy wspólnym czytaniem i omawianiem współczesnej literatury, poezji na łamach pism literackich itp. Wspomniany już owczy pęd do poezji widoczny tutaj jaskrawo, należałoby przewekslować w dużej części na inne tory. Wprawdzie, niektórzy członkowie klubu imają się prozy i publicystyki, ale są to próby zbyt nikłe i nie traktowane przez nich poważniej. Nie wprowadzono również w życie zamierzonych spotkań z literatami. Poza opiekunem klubu z ramienia ZLP., M. Piechalem, nikt tu nie zaglądał. W jednym ze sprawozdań jest mowa o tym, że jednym z celów klubu było stworzenie dla członków „możliwości wyżycia się". Wyżywanie się we własnych utworach nie wyszło na dobre dla nich.

Charakteryzując pozytywną stronę działalności „Przełomu", należy podkreślić jego stronę organizacyjną. Klub powstał niejako samoczynnie, bez żadnej inspiracji z zewnątrz. Wiele wysiłku włożył tutaj organizator jego, aktywista ZMP, Zdzisław Konicki. „Przełom" istnieje już i pracuje drugi rok. Mimo, że nie wypracował jeszcze bardziej konkretnych i właściwych metod działania, zdołał zainteresować swoją pracą czynniki organizujące życie kulturalne. W dobie postulowania tych zagadnień, stanowi przykład dla dalszych prób w tym kierunku. W szeregach jego są młodzi ludzie, jak Tadeusz Gicgier, czy Edward Siekowski, którzy już zdołali wykazać uzdolnienie literackie. Utwory ich, wiersze, satyry i fraszki, drukowane na łamach pism, świadczą o możliwościach dalszego rozwoju.

Praca klubu winna być pracą długodystansową, która po latach może dać należyte wyniki. Mówi o tym przykład klubów literackich w Związku Radzieckim, między innymi koło literackie pod nazwą „Walcówka" w moskiewskich zakładach fabrycznych „Sierp i Młot". Koło to istnieje już od 20 lat, wychowało kilka pokoleń pisarzy. Utwory członków „Walcówki" drukowane są stale w pismach radzieckich.

Bezpośrednio przed klubem stoi zadanie wprowadzenia racjonalnych metod samokształcenia i wzmożenia swej aktywności.

Jeżeli chodzi o ogólną organizację podstaw, pod działalność klubów literackich i opieką nad nimi, to zadania do spełnienia leżą tu przed Związkami Zawodowymi, oraz Związkiem Literatów Polskich.

A oto sylwetki aktywniejszych działaczy, członków klubu literackiego „Przełom" w Łodzi.

3) RODOWODY NAJMŁODSZYCH

TADEUSZ GICGIER ur. w 1927 r. w Łodzi, pochodzi z rodziny chłopsko-robotniczej. Szkołę powszechną ukńczył w roku 1939. Po wyzwoleniu w 1945 r. przystępuje do dalszej nauki, w 1947 otrzymuje świadectwo dojrzałości. Od młodzieńczych lat, ściślej od 15 roku życia, pracuje w fabryce, później pracując, kształci się, studiuje na Wydz. Humanistycznym U. Ł. Próby pisania podejmuje już w najmłodszych latach. W ostatnim okresie drukował na łamach wielu pism, wiersze, satyry i fraszki. Być może, że cechująca go łatwość pisania i zbytnia aktywność literacka, stanęły na przeszkodzie szerszemu pogłębieniu problematyki społecznej i wyrazu artystycznego jego utworów. Cechą ich jest zbytnia literackość, wyrażająca się w szablonowej poprawności i jednostajności techniki pisarskiej, co grozi młodemu poecie przedwczesną rutyną i manieryzmem.

ZDZISŁAW KONICKI ur w 1925 r. w Łodzi pochodzi z rodziny robotniczej. Ojciec był robotnikiem fabrycznym, matka zmarła w 1949, tkaczka, przodownica pracy w PZPB nr 3. Szkołę powszechną ukończył w 1939 r. W konspiracji uczył się dalej. W 1945/6 uczęszcza do Liceum Rolniczego Jego próby pisarskie nie ograniczają się do wierszy. Pisze artykuły publicystyczne, kronikarskie, popularno - naukowe, reportaże itp., które zamieszcza na łamach dzienników i pism związkowych np. „Gazeta Włókniarza". Jest aktywnym działaczem ZMD, później ZMP. Jest perwszym organizatorem klubu „Przełom". W większości jego wierszy brak wyraźnej nuty społecznej i konkretnych doświadczeń człowieka klasy robotniczej. Ostatnie próby Konickiego, o wyraźnej problematyce społecznej, jak wiersz „W walce o pokój" świadczą o wkraczaniu na właściwą drogę.

EDWARD SIEKOWSKI ur. w 1919 r. w Skierniewicach. W życiorysie swoim pisze: — Ojciec mój, syn robotnika kolejowego, pracował również na kolei jako palacz. Matka, rowniez córka robotnika fabrycznego, umarła na gruźlicę. W czasie działań wojennych, dostałem się do niewoli niemieckiej, gdzie przebywałem do końca wojny. W latach 1945 — 47 zetknąłem się z Amerykanami na ziemi niemieckiej i dokładnie poznałem kulisy ich „demokracji". Postanowiłem wrócić do Polski, by w miarę swoich sił, demaskować politykę imperialistycznych kandydatów na władców świata. Oto wyraźnie postawiony program życiowy. A jak wygląda jego konfrontacja z próbabi literackimi, do których, po usilnej pracy nad sobą, przystępuje Siekowski. Nie można zaprzeczyć, aby w wielu jego fraszkach brak było wyraźnego ideologicznego ostrza, jednakże często jest ono stępione efektowną grą słów i niecelne. W wierszach satyrycznych widać wyraźnie piętno inteligenckich wzorów, zarówno w formie, jak i w tematyce. Omijając wielką, bojową, rewolucyjną problematykę, w której celna satyra ma możność wypowiadać się bez osłonek, satyry Siekowskiego skupiają się prawie wyłącznie na biurokracji. Temat potrzebny, ale raczej drugorzędny i grożący piszącemu wytworzoną tu już sztampą. Wiele utworów Siekowskiego, szczególnie fraszek, było drukowanych na łamach pism.

RYSZARD DOROBA ur. w 1928 r. W czasie okupacji pracuje jako uczeń szewski, równocześnie uczęszcza na tajne komplety gimnazjalne. Po wyzwoleniu kończy liceum ogólnokształcące. Z Łowicza przybywa do Łodzi w poszukiwaniu pracy. Jego próby literackie bazują również głównie na satyrze. Forma niektórych jego satyr i fraszek jest poprawna, ale nie wybiegająca poza tradycyjny styl. Wielu z nich brak aktualnej tematyki, mogły być równie dobrze napisane sto lat temu.

BOLESŁAW TRĘBASIEWICZ stanowi typowy przykład tzw. „literatury pragnącej". Jest najstarszy wiekiem w całym klubie. Ur. 1905 r. w 1927 zdobywa maturę, następnie studiuje na Wydz. Humanistycznym U. W. Pochodzi z rodziny robotniczej. Zainteresowania literackie i pierwsze próby publikacji jego utworów pochodzą jeszcze z lat gimnazjalnych W czasie studiów należy do Koła Literackiego U.W. Od tego czasu do dziś, czymkolwiek by się nie zajmował, nie rozstawał się nigdy z pisaniem wierszy. Intencje treściowe jego utworów są rewolucyjne i postępowe. Jednakże ich społeczny wydźwięk łączy się często w jakiś dziwny sposób z niepotrzebnym irracjonalizmem i swoistą metafizyką, kojarzącą się z biblijnym mistycyzmem. Pozatym zbyt rozległe zestawienia, wątki treściowe rozbite na mnogość odrębnych zjawisk, nieporadność w precyzowaniu myśli, silenie się na monumentalny patos, składają się na społeczno-literacką nieprzydatność, po prostu niezrozumiałość wierszy Trębasiewicza. Jedyna rada, jaką można dać autorowi, dla którego pisanie wierszy stanowiło konieczność przez większą część życia, to uczyć się prostoty, iść naprzód w rozwoju, a nie cofać się. Wiele jego utworów z lat młodzieńczych wykazuje dużo lepszy poziom formalny, niż utwory dzisiejsze.

Przytoczony powyżej fragment wiersza B Trębasiewicza pt. „Klęska rodzimej reakcji" świadczy, jak pomieszanie pojęć i nieodpowiednia forma,

„Gdy Czas nadszedł pod sztandarami Marksa i Lenina,
głosząc postęp i sytość robotników — zwinna
gromada szabrowników obrastała w pierze —
mordercy mordowali, ginęli żołnierze,
milicjanci, działacze, robociarze, chłopi,
bo obcy wywiad czuwał i złota nie skąpił...
— Wszystko podłe i wrogie ludowi w tych dniach
podniosło łeb Po mieście w mrokach snuł się strach,
odzierając przechodniów z gotówki, z odzieży,
często przebrany w mundur..
Styl plugawy
miał sprytnych adwokatów i poręczycieli
i liczne skryte ścieżki... Gdy ranek się bielił,
znajdowano ofiary i bestialstwa ślady.
Sprawca był nieuchwytny... Las wchodził w układy
z plebanią, z karczmą, z piekłem... Gdzie drżał jeden liść —
szpieg podsuwał: To oni... Kto? — No mają przyjść
ci, z Londynu, z Bum, bum, bum, — i ich protektorzy...

zamazuje i wypacza skądinąd śmiało wyrażane hasła i deklaracje społecznej ileologii, usiłujące bezkompromisowo mobilizować do walki o postęp społeczny. Wczytując się w taki utwór, można mieć wrażenie, że autor niedaleki był od sprecyzowania na swój sposób myśli i poglądów i że doprowadzenie do należytej równowagi kompozycyjnej utworu i selekcji zestawionych pojęć, kto wie, czy nie ujawniłoby, jakiegoś oryginalnego stylu pisarskiego. Cechą tego stylu byłaby wyraźnie przebijająca epickość. Zadaniem pracy samokształceniowej w ramach klubowego kolektywu, byłoby wskazanie autorowi wielu podobnych wierszy, właściwszej drogi, na której wniknąłby on w przyczyny niedojrzałości swych prac. Wtedy mógłby je przełamać.

Bronisław Chęciński

*) W dyskusji o kadrach literackich zabierali poprzednio głos: B. Chęciński, R. Jędraszczyk, J. Pogan, J. Waczyński, J. Marszałek, S. Skulski, K. Skrzydliński, J. Ziemba, L. Pokora, W. Osmenda.

TADEUSZ GICGIER

PIEŚNI RADZIECKIE

Wesoły wicher pieśni tych
ma moc, niewielu wichrom daną —
przywraca rześkość zwiędłej krwi
i zmierzch w kwitnące zmienia rano.

Ten wicher, kiedy w żagle dmie
na życia chmurnym oceanie —
płyniemy śmiało, bowiem ster
w twym ręku, dzielny kapitanie.

A płynąc, przesuwamy wzrok
od Moskwy do Władywostoka,
gdzie za swe serce obrał glob
ziemię, co wolna i szeroka.

Gdzie wśród otwartych słońcem pól,
nim lato się podniesie płowe —
niosą kołchoźnej orki znój
traktory — rumaki stalowe.

Gdzie jeden życiem włada rytm,
dzień każdy postać ma ze spiżu
i spiż jest w słowach — brzmi jak czyn
wezwanie dumne „towarzyszu".

Na kraj ten nie powstanie wróg,
wiedząc, że ludzi tych nie złamie:
przeszli przez trud bitewnych dróg,
szli dolinami i wzgórzami...

Dziś idą dalej, niosąc śpiew.
Wiodą zwycięską awangardą
proletariuszy wszystkich ziem —
w marszu po szczęście, pokój, radość.

ZDZISŁAW KONICKI

W WALCE O POKÓJ

Gdy nadszedł
okres pokoju: —
świat na dwie części
chcą dzielić!
I chcą go czołgiem
przekrajać —
nożem, z vietnamskich rozbojów...
Gdy chińskie drzewo
znów kwitnie —
Wallstreet chce
podgryźć mu korzeń!
Tak, jak nas Głosy
z daleka
tumanić próbują co dzień...
Walczymy, by nadszedł
okres człowieka!
By świat przybrał
pokoju szatę! — —
To u nas
chłop z robotnikiem,
w sojuszu
wiecznym się zbratał!
Gdy nadszedł
okres pokoju —
Lud ziemię zaorał
lemieszem.
Jednoczą się siły
we wszystkich krajach
w walce
o pokój
na świecie!

EDWARD SIEKOWSKI

FRASZKI POLITYCZNE

DO „MĘŻÓW STANU" W ZMARSHALIZOWANEJ EUROPIE

W polityce czas najwyższy
Poznać prawdę znaną:
Racja stanu to nie służba
Zjednoczonym Stanom.

CZANG-KAI SZEK WE FRASZCE

Każdy chiński kulis
Zna go już od kulis.

O CIĘŻKIEJ SYTUACJI GOSPODARCZEJ W HISZPANII

Największe tam manco
To — generał Franco.

FRASZKI AMERYKAŃSKIE

WOLNOŚĆ

Nie przecz, że u nas jest wolność,
Rzekł stary cow-boy do syna.
Wolno nam przecież bezkarnie
Każdego zlinczować murzyna.

AMERYKAŃSKIE TEMPO

Tempo ich produkcji do wyżyn zawrotnych
Doszło w wytwarzaniu masy... bezrobotnych.

O PEWNYM STANIE W U. S. A

Chociaż nie ma go na mapie,
Lecz wiedzą Amerykanie,
że w U. S. A. bezrobotni
Żyją w „Opłakanym Stanie".

MY I U. S. A.

Różnie idąc, do różnych doszliśmy wyników,
My wolność mamy w życiu, a wy na — pomniku.

Wokół epiki (6)

JERZY WACZYŃSKI

O MŁODZIEŻY

„Dzisiaj ust moich głośnik
rozdziawię
równocześnie
w tysiącu świetlic".

Tymi słowami rozpoczyna K. Gruszczyński poemat pt. „Płomień czerwonych krawatów".

I rzeczywiście — sam spotykałem się z tą niewielką książeczką w kilku świetlicach, ale nie znaczy to, że poemat ten można znaleźć tylko w świetlicy, czytany tylko przez ludzi, którzy przychodzą doń po pracy w poszukiwaniu rozrywki kulturalnej i nauki. „Płomień czerwonych krawatów" niewątpliwie trafił i do mieszkań prywatnych, a jeżeli zbyt wolno opuszczał półki księgarskie — to, moim zdaniem, główna wina ciąży na krytyce literackiej, która nie zareagowała dość silnie wobec ukazania się poematu Gruszczyńskiego.

Ryszard Matuszewski słusznie wspominał w „Kuźnicy" (nr. 6, 1950), że na piśmie tym ciąży poważny grzech w stosunku do młodych poetów, którzy „obecnie prezentują dorobek pisarski na tyle, ilościowo przynajmniej pokaźny, że stanowi już on sam w sobie ważne zagadnienie na tle całości problemu współczesnej liryki poetyckiej".

Z problemem krytyki łączy się zagadnienie treści i formy. Krzysztof Gruszczyński oddał czytelnikom poemat epicki, w którym nakreślił obraz walki o nowe życie, o prawo istnienia nowej władzy, władzy ludowej.

„Cóż warta byłaby twórczość artystyczna — powiedział prez. B. Bierut — cóż warta byłaby sztuka, wiedza, czy literatura, która by nie dostrzegała, nie pojmowała, nie czerpała natchnienia z tych głęboko rewolucyjnych przemian i zjawisk, które się dokonują, które nurtują w umysłach, które wstrząsają podświadomie psychiką milionów prostych ludzi".

Chodzi o natchnienie. A skąd je czerpał Gruszczyński, pisząc swój poemat?

Właśnie z rewolucyjnych przemian, z toczącej się w wyniku tych zjawisk walki klasowej, z entuzjazmu budowniczych nowego, radosnego życia. Entuzjazm i walka — to temat „Czerwonych krawatów", a jednocześnie temat nowego życia, z którego czerpią natchnienie nie tylko pisarze, ale w jeszcze większej mierze nowi bohaterowie — lud pracujący.

Kiedyś rozmawiałem z jednym z moich kolegów o literaturze młodzieżowej. Twierdził, że wśród młodzieży robotniczej i chłopskiej prawo do życia mają proza i poezja w stosunku 10:1. Zaprotestowałem, ale nie odważyłbym się dać obu formom równych szans. Tak myślałem w 1948 roku.

Dzisiaj, gdy zetknąłem się bliżej z zagadnieniami literatury, stanowczo twierdzę: remis. Dla kogóż jest przeznaczony poemat Gruszczyńskiego, jeśli nie przede wszystkim dla młodzieży? Do kogóż silniej przemówi poeta, jeśli nie do młodzieży? Przecież masy młodych obywateli ludowego państwa łączy nie forma literacka, ale idea.

Dlaczego więc bałem się stawiać jednakowo na prozę i poezje? Odpowiedź jest krótka i jasna. W pierwszych latach powojennych, my, młodzi, byliśmy zasugerowani przewagą prozy, była nam bliższa. Dam tu charakterystyczne porównanie: proza — to chleb, poezja — to bułeczki. A choć i chleba i bułeczek było mało, to jednak bliższy zębom był chleb (dużą rolę odegrało przyzwyczajenie). Na tym koniec porównania.

Zastanówmy się, czy w Polsce sanacyjnej istniała poezja młodzieżowa, czy poza postępowymi poetami pisał ktoś o sprawach młodzieży? Kilka miernych pozycji literatury dziecięcej, a o młodzieży nic.

Jeśli chodzi o obecny stan literatury młodzieżowej, to niestety musimy uderzyć się w piersi i powiedzieć: nostra culpa. Nie stworzyliśmy literatury młodzieżowej takiej, na jaką czekały i czekają miliony czytelników. Ten niedostatek odczuwa młodzież bardzo boleśnie, czego przykładem są ciągłe biadolenia i wołania pod adresem ZLP: piszcie o nas.

Przepraszam, że odbiegłem od tematu, ale właśnie takie uwagi nasunęły mi się po przeczytaniu „Płomienia czerwonych krawatów".

Postaram się teraz odpowiedzieć na trzy pytania: jaki cel postawił sobie Gruszczyński, pisząc poemat, czy cel ten osiągnął i co w konsekwencji zyskał czytelnik?

„Poeta powinien w lud życie czynne przelewać, oswajać go z jego siłą, wznosić go do jego właściwej godności działalnego żywiołu" — powiedział w roku 1844 Henryk Kamieński.

Słowa znakomitego publicysty z XIX wieku — to określenie zadań poety współczesnego, poety — budowniczego.

Krzysztof Gruszczyński postawił sobie za cel niewątpliwie stworzenie poematu — obrazu walki. Ale walka o zbudowanie Polski socjalistycznej, to nie tylko budownictwo przemysłowe, to nie tylko wciąż nowe spółdzielnie produkcyjne na wsi — to przede wszystkim walka klasowa. I tej walce poświęca wiele uwagi Gruszczyński mówiąc o upadku starego ładu, i wspaniałych perspektywach, stojących przed młodzieżą:

„Gorszy się baron:
Kto dziś na wozie,
jakie nastały czasy. —
Odpływa w przyszłość
robotnicza młodzież
w salonie pierwszej klasy".

Jak już powiedziałem Gruszczyński stworzył poemat o młodzieży i przeznaczony głównie dla młodzieży, ale nie znaczy to, że dojrzały czytelnik nie znajdzie tam nic dla siebie. Powiedziałem: idea. To właśnie sprawia, że tak młodzi jak i starzy mówią o poemacie: nasz.



Proporzec współzawodnictwa zdobyty przez brygadę młodzieżową

Ale, by padło słowo nasz, musiał Gruszczyński nauczyć się przemawiać do serc czytelników. I nauczył się. „Płomieniem czerwonych krawatów" rozpalił naszą wiarę w celowość walki i konieczność ponoszenia w tej walce ofiar.

Dzisiaj literatura jest przyczynkiem do budowy socjalizmu. Tak właśnie ma się sprawa z „Płomieniem czerwonych krawatów" — poematem walki i zwycięstwa.

Polecam przeczytanie tego utworu wszystkim aktywistom Partii i ZMP. Należy poemat bardziej spopularyzować. Niech dotrze wszędzie, gdzie go nie znają. Niech „Płomień" oświetli i ogrzeje serca tych, którzy chcą budować nową Polskę, ale brak im zapału i „socjalistycznego rozmachu". Autor przedstawia nam obraz tworzenia się nowego człowieka, którego uczucia związane są z pracą i walką. I choć nie ma imiennych bohaterów — to „Czerwone krawaty" są poematem dzisiejszym, zasługującym, moim zdaniem, w pełni na miano poematu realistycznego.

Na zakończenie podpiszę się pod licznymi głosami twórców literatury, krytyków i czytelników, skondensowanymi w jednym zdaniu: brak wielkiego poematu o elementach epickich. Czytelnik czeka.

Jerzy Waczyński

Poprzednio zabierali głos: W Nr. 36 — Anna Kamieńska, Leon Pokora i A. E. Kirło Nowaczyk o poemacie „Janosik" Nędzy - Kubińca. W Nr. 37 „Wsi" Maria Janion, Jan Błoński — o poemacie „Nad Engelsem" Wygodzkiego. W Nr. 38 „Wsi" P. S. Ziarnik i B. Chęciński — o poemacie „Pleban z Chodlna" Skoneckiego. — W Nr. 41 — Jan Marszałek o „Komunie Paryskiej" Wł. Broniewskiego, Br. Gołębiowski o poemacie „Rzecz o trasie W—Z" T. Kubiaka, Seweryn Skulski o „Poematach o gen. Świerszczewskim" Broniewskiego, Lewina, Stillera i Woroszylskiego. W Nr. 42 — Andrzej Wasilewski o poezji Woroszylskiego

---

WŁADYSŁAW UDALSKI

POEMAT O ZWM

KIEDY czytałem „Płomień czerwonych krawatów" — Krzysztofa Gruszczyńskiego niejednokrotnie nasuwała mi się myśl, w jakim stopniu udało się autorowi odtworzyć i możliwie prawdziwie artystycznie oddać burzliwy okres rewolucyjnych przemian w pierwszych latach powojennej rzeczywistości i udział w swych przemianach młodzieży Z. W. M-owskiej.

Sądzę, że stopień prawdziwości odtworzenia życia społeczno - gospodarczego, zależy w dużej mierze od ideowego zaangażowania się poety po stronie rewolucji i politycznego stąd spojrzenia na rolę poezji.

W poemacie znajdujemy takie wyznanie poety:

„Oto przyrzekam, towarzysze:
o ptaszku,
gałązce,
gwieździe,
dopóki nie napiszę,
dopóki wiersz mój z wami nie wstąpi
na socjalizmu choćby przedmieście".

Obserwując bohaterski wysiłek klasy robotniczej, która z entuzjazmem i poświęceniem jęła się odbudowy zniszczonego kraju w ciężkich warunkach powojennych, kiedy „na kartki dano kawał gliny" i „zupa w stołówce licha", autor zrywa z banalnymi, oderwanymi od życia tematami włączając się aktywnie dostępnymi sobie środkami w nurt ogólnej walki o przebudowę kraju i utrwalenie władzy ludowej. Jest to pierwsze wielkie osiągnięcie Gruszczyńskiego.

Jego wiersz towarzyszy kolejno etapom przekształcenia struktury gospodarczo - politycznej Polski.

Brygady Z. W. M.-u wyruszają na wieś pomóc chłopom w dzieleniu ziemi obszarniczej. Wróg strzelał zza węgła, nadaremnie usiłując powstrzymać wielkie przemiany. W takiej sytuacji każdy odcinek pracy stawał się cząstką ogólnego frontu walki i autor wyraźnie dostrzegł to mówiąc:

„Każda wioska to okop.
Zetwuemowiec nie jeden legł
wśród łanu z czołem przestrzelonym.
Wróg atakował nasze brygady".

Wszędzie, gdzie trzeba było pracy, gdy trzeba było zaludnić i połączyć z Macierzą Ziemie Odzyskane, gdy trzeba było bronić zdobytych przywilejów ZWM-owcy stawiali się na najbardziej odpowiedzialne odcinki, czy to inicjując pierwszy młodzieżowy wyścig pracy, czy agitując po wsiach władzą ludową w gorących chwilach referendum, czy strzegąc w szeregach ORMO i MO mienia Państwa Ludowego.

Młodzież walczy aktywnie o realizację historycznych zadań klasy robotniczej, ponieważ są one jej zadaniami. Szeroko otwierają się przed młodzieżą robotniczo - chłopską szkoły niedostępne dlań dotychczas, zniknęło widmo bezrobocia, głodu i niepewnego jutra.

W ogniu rewolucyjnych przemian zmieniły się również kryteria decydujące o wartości człowieka. Przed wojną wszechwładną potęgą, kluczem do wszystkiego był pieniądz — obecnie

„praca, praca, praca
jeden jedyny nasz przywilej".

Uchwycenie tej decydującej o rozwoju naszego kraju siły napędowej jest obok jasnej postawy politycznej autora drugim czynnikiem podnoszącym wychowawczą wartość „Płomienie czerwonych krawatów" — osiągnięciem tym ważniejszym, że najlepiej przemawiającym do czytelnika ludowego.

Jest w poemacie jedno miejsce, które szczególnie silnie uczuciowo uderzyło mnie podczas lektury.

„W pałacu
fabrykanta
kształci się
dziś
bojowników
najmłodsza
klasa".

Uczyłem się dwa lata w szkole, która mieściła się w przedwojennych willach letnich fabrykanta Kindermana w Rudzie Pabianickiej. Piękny, zielony park. Czyste, ożywcze powietrze. Cisza. Wymarzone wprost warunki do nauki. Gdy obserwowałem grupki uczącej się młodzieży robotniczo - chłopskiej na polanach wśród drzew, na miejscu, gdzie przed wojną wylegiwał się fabrykant ze swą rodziną, przychodzi mi na myśl sprawiedliwość dziejowa, jaka dokonała się w naszym kraju, rosła wdzięczność i miłość do Państwa Ludowego. Jej wyrazem u młodzieżowców, którzy przyszli ze wsi i wiedzieli co znaczy bieda i ciężka praca, był rewolucyjny zapał do pracy i walki w szkole i w organizacji. Dziś w Lututowie w pow. wieluńskim uczy się moje rodzeństwo w pałacu dziedzica Kurnatowskiego.

Mam żal do Gruszczyńskiego i uważam, że jest to dość zasadniczy brak artystyczny utworu, że w sposób zbyt publicystyczny potraktował swój poemat. Mimo celnych zestawień i słusznej ideologii jest on jakiś niedokrwisty, zbyt hasłowo-agitacyjny, za mało w nim uczucia i prostoty, które najbardziej przekonywująco trafiają do mas. Rzeczywistość jest o wiele wyrazistsza, bardziej skomplikowana, prawdę rewolucyjnych przemian bardzo często usiłuje sfałszować wróg klasowy — dlatego podanie ideologii marksistowskiej w podbijającej wzruszeniowo formie ma niesłychanie wielkie znaczenie popularyzacyjne wśród mas ludowych i młodzieży i niezmiernie pomaga wielu ludziom w skrystalizowaniu jasnego światopoglądu materialistycznego.

Ileż trudności pokonywać musieli aktywiści zetempowcy wykładając historię rewolucyjnej młodzieży polskiej i pierwszych chwil Państwa Ludowego. Słowo wykładu nigdy nie zastąpi i nie utkwi tak głęboko w umyśle prostego słuchacza robotniczego czy chłopskiego, jak prosta, zrozumiała wizja poetycka odzwierciedlająca uczucia i pragnienia tej młodzieży, ukazująca jej jasną przyszłość, mówiąca o jej młodzieńczym porywie i bohaterskiej pracy. Wprawdzie w poemacie Gruszczyńskiego są takie momenty, np.:

„Bite trzy tygodnie
wzięliśmy nieraz skokiem normy.
Plotą się przędzy płowe warkocze
dziewczyną naszą jest szybkość",

ale fragmenty bardziej wzruszające czytelnika są bardzo rzadkie, a i wskazany jest może zbyt zawiły dla niewyszkolonego czytelnika.

Gruszczyński podejmując ambitny zamiar poetyckiego uogólnienia bohaterskiej walki młodzieży ZWM-owskiej, która płaciła krwią za swe przekonania, mógł w bardziej skonkretyzowany, epicki sposób ująć materiał. Dał jednak tylko kilka filmowych wprost wycinków. Przyczyna braku uogólnienia materiału i wysnucia zasadniczych wniosków na przyszłość leży, być może, w tym, że pierwszy poruszał się w terenie dotąd nieznanym poetom. Był pierwszy. I jest nim dotychczas.

Mimo tych zastrzeżeń znaczenie „Płomienia czerwonych krawatów" jest naprawdę duże i wielce pomocne, zwłaszcza w terenowej pracy zetempowskiej. I za to dziękujemy poecie. Za wiarę i bojowość jego ZWM-owców, wywierającą silny wpływ wychowawczy. Należy tylko wyrazić żal dlaczego takie rzeczy nie są szeroko rozprowadzane w terenie.

W poemacie aktywiści ZWM-owcy przyjeżdżali na wieś agitować za władzą ludową w okresie referendum — dziś ZMP-owcy w ekipach łączności miasta ze wsią dają wsi konkretną pomoc, aktywiści terenowi docierają do najbardziej zapadłych miejsc budząc młodzież chłopską i agitując za spółdzielniami produkcyjnymi.

ZMP rozrosło się w masową organizację. Autor zauważył pewne zarodki nowego, ale nie przewidział ich rozwoju. Rzeczywistość poprawiła go i chyba sam z tego jest zadowolony. Pisarz, który ujmie poruszony przez Gruszczyńskiego temat w szerszym epickim zakresie musi uwzględnić to, tym bardziej, że wiele spraw ideologicznych okresu powojennego zostało ostatecznie wyjaśnione. My zetempowcy, aktywiści terenowi, apelujemy o to do pisarzy i poetów.

Władysław Udalski

RYSZARD JĘDRASZCZYK

„PŁOMIEŃ CZERWONYCH KRAWATÓW"

Redakcja „Wsi" podjęła pożyteczną inicjatywę, inspirując na swych łamach dyskusję na temat poezji epickiej. Dyskusja ta jest bardzo na czasie. Co więcej. Brak takiej dyskusji odczuwaliśmy już dawno.

Po wojnie u nas poezja z winy własnej i nie tylko własnej, została zepchnięta w naszym życiu literackim na pozycje „wyrodnej córki", o której nasi zawodowi krytycy, na wzór cnotliwych wujaszków, woleli milczeć. A tymczasem sprawa poezji dojrzewała do dyskusji, która też wybuchła na szpaltach prasy literackiej ku przerażeniu krytyków, którzy przez dyskutantów wskazani zostali jako główni winowajcy tego smutnego stanu rzeczy. Szerokie rzesze czytelników powitały rozpoczętą dyskusję, entuzjastycznie i z wyraźną ulgą. Nareszcie wszczął się pożyteczny ferment wokół poezji, która tym samym została wciągnięta z zapomnianych regionów życia kulturalnego w sam środek zainteresowania naszej rzeczywistości społeczno - kulturalnej. Poezji znów przywrócono jej rzeczywistą rangę zjawiska społecznego.

Dyskusja, której główny nurt przetoczył się przez szpalty „Kuźnicy" spełniła obiektywnie takie właśnie zadanie. Jej niedociągnięciem jednak było to, że została niedoprowadzona do końca, a i tym samym została pozbawiona syntezy.

Sprawa naszej powojennej poezji pozostaje wciąż jeszcze kwestią otwartą.

W takich to warunkach dochodzi do skutku obecnie dyskusja o poezji epickiej na łamach „Wsi". Dlatego chciałoby się wysunąć pod adresem Redakcji i osób zainteresowanych jeden zasadniczy postulat.

A mianowicie — rozszerzcie ramy dyskusji by objąć nimi również sprawę naszej powojennej poezji w ogóle. Za tym przemawia wiele względów. Przede wszystkim nie można rozpatrywać poezji epickiej w oderwaniu od sytuacji w naszej powojennej poezji. Te związki są dosyć oczywiste, gdy uświadomimy sobie że renesans poezji epickiej bynajmniej nie przypadkowo przypada na adres hermetyczności i niekomunikatywności naszej poezji lirycznej, oraz na okres uświadomienia sobie nieprzydatności dawnej psychologicznej powieści do wyrażania nowych treści społecznych. Te dwa momenty determinują w bardzo wysokim stopniu zjawisko odrodzenia się poezji epickiej. Poemat epicki nie obciążony złą tradycją bezsilności wobec nowych treści dwóch wyżej wymienionych gatunków literackich, przejął na siebie trud wyrażenia nowej rzeczywistości. Czyż jeszcze i dzisiaj możemy wskazywać na resenans poezji epickiej jako na zjawisko, świadczące o tym, że epice należy dać pierwszeństwo wobec poezji lirycznej i powieści? Dyskusja na łamach „Wsi" sugeruje takie właśnie przypuszczenie.

Obecnie musimy to przyznać obiektywnie, w naszej poezji nastąpił wyraźny przełom. Dowodzi tego bieżąca produkcja poetycka, rozsiana po tygodnikach i czasopismach. Poezja wyszła już zdecydowanie poza postępową deklaratywność jej twórców. I co więcej, przebudowuje swój warsztat. To samo możemy powiedzieć o naszej produkcji powieściowej. Coraz intensywniej nasyca się ona tematyką współczesną, wyzwalając się z formalistycznych więzów dawnej mieszczańskiej powieści psychologicznej. Przykładów dostarczają nam tegoroczne państwowe nagrody literackie w zakresie powieści. Wobec takiej sytuacji dopatrywanie się w pomyślnym rozwoju poezji epickiej lekarstwa na niedomagania naszej poezji i prozy — upada. Poemat epicki ma dzisiaj wobec bogactwa tematyki wielkie możliwości rozwoju na równi z poezją i prozą. Nie można jednak mówić o jego hegemonii.

W świetle powyższych uwag, ograniczenie obecnej dyskusji tylko do poezji epickiej, uniemożliwiłoby uzyskanie szerokich poglądów na wzrost produkcji poezji epickiej. Trudno by było zjawisko to prawidłowo ocenić. Jeszcze jeden powód przemawia za tym, by obecną dyskusję rozszerzyć o zagadnienia poezji lirycznej. Jest to okazja podjęcia niedoprowadzonej do końca dyskusji o poezji na łamach „Kuźnicy".

Takie są moje uwagi o toczącej się obecnie dyskusji o poezji epickiej.

* * *

Wśród poematów epickich tego rodzaju co Ozgi Michalskiego: „Poemat nowosielski", Nędzy Kubińca: „Janosik" i Skonecznego: „Pleban z Chodla", poemat Krzysztofa Gruszczyńskiego: „Płomień czerwonych krawatów", zajmuje zupełnie odrębne miejsce.

W odniesieniu do utworu Gruszczyńskiego nie możemy mówić o poemacie epickim w tradycyjnym rozumieniu. Oczywista, że autor nie miał ambicji stworzenia na szczupłej przestrzeni utworu o charakterze zdecydowanie epickim. Stąd utworu swego Gruszczyński nie wyposażył w fabułę, nie stworzył postaci bohatera ani też nie kazał w nim mówić i działać osobom jak to ma miejsce w utworach poetyckich o założeniach epickich. Autor nie przedstawia w swym utworze losów indywidualnego bohatera reprezentanta życia młodzieży robotniczo-chłopskiej, związanej z ideologią Z.W.M.-u. Tego wszystkiego poemat Gruszczyńskiego nie zawiera. „Płomień Czerwonych Krawatów" jest utworem, który zasadza się wprawdzie na opisie, ale jego epika została podporządkowana lirycznej zasadzie skrótu. Autor organizuje materiał poetycki z wypadków niejednostkowych, ale typowych i właściwych całej organizacji młodzieżowej na poszczególnym etapie jej rozwoju. Tematycznie poemat Gruszczyńskiego w liryczno - opisowych rzutach utrwala walkę młodzieży robotniczo-chłopskiej, zrzeszonej w Z.W.M.-ie o Polskę sprawiedliwości społecznej. Dlatego można by nazwać poemat „Płomień Czerwonych Krawatów" artystyczną kroniką walk Z.W.M.-u na przestrzeni lat 1945—47...

Na bogatą historię Z.W.M.-u składa się walka z okupantem, walka o umocnienie władzy ludowej, udział w budowie zrębów ustrojowych Polski Ludowej i walka z wrogiem klasowym na wszystkich odcinkach życia społeczno-gospodarczego w kraju. Poemat Gruszczyńskiego w większym lub mniejszym zakresie obejmuje prawie że cały ten szeroki wachlarz zagadnień. Spotykamy się w nim z zadaniami O.R.M.O. z agitacją przedwyborczą, z reformą rolną, z odbudową Ziem Odzyskanych, z kwestią dostępu na wyższe uczelnie młodzieży robotniczo-chłopskiej i jej awansu kulturalnego oraz z zagadnieniem współzawodnictwa pracy.

Notujemy z prawdziwym zadowoleniem, że Gruszczyński dał ogólnie trafną pod względem ideologiczno-politycznym artystyczną interpretację tych zagadnień.

Bardzo wymownie jest przedstawione kształcenie polityczne młodzieży. Centralną Izbę Partyjną autor umieścił w pałacu łódzkiego kapitalisty. Przez podkreślenie kontrastu między niesmacznym kramarskim przepychem pałacu i pełną poświęcenia pracą młodzieży ludowej dla przyszłości, autor pokazał zmianę funkcji pałacu — z pomnika śmiesznego snobizmu rekina kapitalistycznego stał się on uczelnią, w której kształci się „bojowników najmłodsza klasa".

Agitacja Z.W.M.-u przed referendum w terenie na wsi została przedstawiona dojrzale pod względem ideologicznym.

Gruszczyński w poemacie: „Płomień Czerwonych Krawatów" stanął na gruncie ideologii polskiej rewolucji proletariackiej, rewolucji, nie zatrzymującej się na manowcach, prawicowo-nacjonalistycznej koncepcji Polski Ludowej, jako odrębnej, specyficznie polskiej drogi do socjalizmu. Stanąć na gruncie ideologii polskiej rewolucyjnego proletariatu, ułatwiła Gruszczeńskiemu jego przynależność organizacyjna do Z.W.M.-u. Gruszczyński ideowo-politycznie dojrzał i okrzepł w szeregach organizacji młodzieżowej robotniczo-chłopskiej, będącej spadkobierczynią rewolucyjnej ideologii K.Z.M.P.

Postawa ideologiczna Gruszczyńskiego jednak nie we wszystkich wypadkach jest jednolita. Poemat „Płomień Czerwonych Krawatów" zawiera również miejsca, które świadczą niekiedy o stępieniu rewolucyjnego ostrza ideologii ich autora.

Dla Gruszczyńskiego jedynymi wrogami klasowymi władzy ludowej są: spekulant, lalusie i damulki. Na tej powierzchownej interpretacji sytuacji klasowej znać zły wpływ. To samo da się powiedzieć o następującym urywku:

Jak sfora psów — — kasztany
wiatru łańcuchem szarpią
Rzucaj się,
szczekaj
kudłata warto —
my tu człowieka
wychowamy.

Ta zbyt ogólnikowa personifikacja zatraca całkowicie sens ideologiczny działalności elementów, które dobitniej niż „kasztany" chciały zagrodzić młodzieży ludowej awans kulturalny.

Do tych zastrzeżeń można dołączyć jeszcze i inne. Poważnym niedociągnięciem poematu jest i to, że autor zamknął problematykę utworu w ciasnym kręgu wspomnieniowym. W ten sposób ruch młodzieżowy został wtłoczony w ciasne ramy, które nie pozwalają nań spojrzeć z perspektywy przyszłości.

Ten błąd stał się przyczyną jeszcze jednej usterki. Gruszczyński częściowo rozpoczyna swój poemat od wydarzeń na wiosnę 45-go roku. Tylko dwa razy pobieżnie wspomina autor o okupacyjnych początkach Z.W.M.-u nie wspominając nic o K.Z.M.P., od którego przecież Z.W.M przyjął społecznie radykalną, klasową ideologię. Możność pokazanie ciągłości tradycji walki toczonej przez młodych bojowników o ustrój sprawiedliwości społecznej, została ze szkodą dla utworu przez autora zaprzepaszczona.

Pomimo tych zastrzeżeń, niezaprzeczalną zasługą Gruszczyńskiego pozostanie, że podjął on już z początkiem r. 48-go temat wyraźnie polityczny, partyjny. I jeszcze i to, że dał ideologicznie dojrzałą interpretację artystyczną poruszonego przez siebie tematu.

A pamiętajmy, że był to okres, który zaznaczył się w naszej polityce kulturalnej odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym. A w poezji jeszcze w tym czasie wpływy estetyki burżuazyjnej były wyraźne i silne.

Poemat Gruszczyńskiego „Płomień Czerwonych Krawatów" jest pozycją ideowo-artystyczną wartościową, do której osiągnięć nasza poezja realizmu socjalistycznego będzie mogła nawiązać, ale i błędów, której nie będzie jej wolno więcej powtarzać.

Ryszard Jędraszczyk

Czytajcie i rozpowszechniajcie Prasę Radziecką

TADEUSZ SZEWERA

NOTATKI O SKUPIE ZBOŻA

Kołodziejski pokazał swe prawdziwe oblicze dopiero na gminnym zebraniu. Prawie zawsze spokojny, rzekł byś — chodzący baranek — rozsierdził się na dobre. Na płaskim czole wystąpiły mu grube, ciemne żyły, krew nabiegła ku policzkom. Wyrżnął całą siłą pięścią w szkolną ławę i rozglądając się po sali zapełnionej po brzegi chłopami z Pleckiej Dąbrowy, wygarnął:

— Ty Wojdacki zamknij gębę. Pilnuj swego morga, nie zaglądaj do niczyjej stodoły. Nie mam żyta na darmowe dawanie. Rozumiecie... Ani metra...

Takie stanowisko Kołodziejskiego poderwało małorolnych i średniorolnych do ostrego wystąpienia. Zaperzył się Wojdecki, poparli go inni. Wojdecki w wyraźny sposób zaatakował Kołodziejskiego. Wobec kilkudziesięciu przedstawicieli kutnowskiej gminy demaskował kułacką działalność w przed dzień skupu zboża. Wojdecki mówił:

— Jak zaszliśmy do Kołodziejskiego, to użalał się, że nie ma ziarnka w spichrzu, że jeszcze stóg nie młócony. Myśleliśmy, że prawdę gada. Taki spokojny chłop, niby średniak... Ale parobek nam powiedział, jak jest w istocie. Kołodziejski ma więcej ziemi niż podaje, że ten stóg... co stoi na jego polu... to od zeszłego roku. Nie zdążył omłócić..., bo nie myślał odstawić nic na punkt skupu.

Po Wojdeckim występowali inni chłopi. Mówili o wrogiej działaności Kołodziejskiego. Ten zawsze uśmiechnięty bogacz łaził po wsi do najbiedniejszych, i gadał — żeby spółdzielni nie sprzedawać zboża. Teraz to sprzedaje się za marne grosze, a



Przed magazynem zbożowym

nie długo to będą zabierać bez zapłaty — straszył co mniej świadomych.

Kołodziejski początkowo buńczucznie nastawiony do wypowiedzi małorolnych — próbował nawet ponownie krzykiem przeciwstawiać się.

Teraz poczuł się osamotniony, bezsilny, wobec zwartego obozu biedniackiego. Jedynym argumentem jaki mu pozostał to wyjście z zebrania w momencie, kiedy trójka zbożowa ustalała ilość metrów żyta, które ma Kołodziejski odstawić do Gminnej Spółdzielni „Samopomocy Chłopskiej".

✤

Prawie w tym samym czasie w Jeżowie powiatu piotrkowskiego pojawiły się na ścianach kilku domów napisy: — „Tu mieszka wróg chłopa, który nie chce państwu sprzedać zboża".

Bogacze, których domy w taki sposób pomalowano, przystąpili do generalnej ofensywy przeciwko mało i średniorolnym. W pierwszym rzędzie zaatakowali „słabe punkty" — odrobników. Pod groźbą zatrzymania pożyczki koni i narzędzi, wyciągnięcia „konsekwencji" w stosunku do dłużników, którzy jeszcze nie zdążyli odpracować dniówek za pożyczki przeróżnego rodzaju, wymuszali na biedniakach zapewnienia, że nie będą popierać akcji skupu.

— Ja tam wiem — mówił Mieczysław Woźniakowski — że się szykują partyjniaki do złożenia zobowiązania o dostawie zboża ponad plan. Ale jak który z was ich poprze, to skończone z pomocą. Na dziady pójdziecie... bo kto będzie wam chciał pożyczać?... Hę?.., Dobrodzieje się trafili cudzym kosztem.

Woźniakowskiemu wydawało się że odniósł zwycięstwo. Zależni od niego i innych kułaków biedniacy, przytakiwali, pozornie zgadzali się na przeciwdziałanie. Ale na zebraniu gromadzkim okazało się, że były to tylko pozory. Właśnie ci, których Woźniakowski buntował, których nakłaniał do sabotowania akcji skupu zboża, pierwsi wystąpili z wnioskiem, domagającym się pociągnięcia do odpowiedzialności Klemensa i Mieczysława Woźniakowskich po pierwsze za zdecydowany opór przy deklarowaniu ilości zboża na skup, po drugie — za akcję sabotażową, oraz próbę rozbicia gromadzkiego skupu.

✤

Odpowiedzią również na zorganizowane wystąpienie wiejskiego kułactwa, było stanowisko małorolnej chłopki z gromady Kowale powiatu wieluńskiego. Maria Napieralska, po nieudanej próbie miejscowych bogaczy, dążących za wszelką cenę do zdezorganizowania skupu zboża i poderwania zaufania do „trójek zbożowych", oświadczyła na ostatnim zebraniu gromadzkim:

— Nie mam wiele ziemi, ale byłoby oszustwem wobec naszej gromady, gdybym powiedziała, że nie mogę dać żyta na skup. Nie tylko mogę, ale dam jeszcze więcej.. ponad plan mnie wyznaczony. Bo przecie wszyscy chłopi wiedzą, że w tym roku urodzaje nam dopisały, że z morgi zebraliśmy o połowę więcej jak w roku ubiegłym

Stanowisko małorolnej chłopki z Kowali, stało się jakby wezwaniem dla chłopów z innych gromad powiatu wieluńskiego. Wieść, że chłopka deklaruje się przekroczyć dostawę zboża Spółdzielni, obleciała szybko inne gromady i gminy. Wbrew bogaczom — 25 hektarowym Rosołom, Turgaszewskim z Płaskocina, Wojtczakom, Brzozowskim z Błonia itd. małorolni i średniorolni chłopi — Fiuta z Dąbrowy, Jan Szczepaniak z Chadai Nowych, Sobczak z Wieszczyc, Wiśniak z Charbic, chłopka Kiestrzygowa z rawskiego odstawiają do punktów skupu nadwyżki zbożowe w 100 procentach, a w wielu wypadkach i w ponad 100.

✤

Sprawa skupu zboża stała się tematem gorących dyskusji i ostrych starć z kułakami, na zebraniach gromadzkich w powiecie łódzkim. W Tuszynku Majorackim małorolna chłopka Anna Paluch wobec zebranych oświadczyła: — Ja tak to rozumiem... Jak się naszemu Państwu Ludowemu nie przysporzy zasobów zbożowych, to i od Państwa nie można chcieć żadnej pomocy A przecie pamiętają wszyscy, jak to na przednówku otrzymywaliśmy po ulgowej cenie mąkę i otręby... To ja, chociaż mam 2 hektary ziemi, odstawię do gminnej spółdzielni 5 i pół metra żyta.

Zabrał głos Franciszek Majcher: Paluchowa da ze swych marnych morgów pięć metrów to i ja dam...

W wyniku — chłopi z Tuszynka zadeklarowali wszystkie nadwyżki zbożowe posiadane przez siebie przekazać na punkty skupu Jednocześnie wezwali do współzawodnictwa w akcji skupu zboża sąsiednią gromadę Kruszów.

✤

W gromadzie Brójce powiatu piotrkowskiego średniorolny chłop Stanisław Łychowski ostro zaatakował miejscowych bogaczy Antoniego Agiera i Franciszka Pietruszkę. Obaj ci bogacze bardzo wrogo ustosunkowali się do sprawy skupu zboża, prowadzili wśród małorolnych wrogą propagandę, próbowali nawet skupywać po cenach spekulacyjnych żyto i pszenicę, ba — przyszli po to na zebranie by je rozbić i nie dopuścić do ustalenia planu.

— Wszyscy dobrze widzimy, do czego dążą Agier i Pietruszka—mówił Łychowski. — Chcą podważyć nasz plan gospodarczy, nie chcą sprzedać Państwu ani ziarnka, bo im się uśmiecha spekulacja... Ale my nie dopuścimy do tego — mówił dalej wśród burzliwych oklasków — Zbiór u nas był pomyślny i wobec tego żądamy od najbogatszych w naszej wsi terminowego wykonania dostaw na punkty skupu A jak nie, to sobie z nimi poradzimy.

✤

Nie wszędzie jednak spotykamy się w terenie z dobrą pracą trójek zbożowych, ze zdecydowanym stanowiskiem mało i średniorolnych chłopów wobec bogaczy, czy wreszcie z należytą organizacją akcji skupu. W wielu wypadkach zawodzi czujność. Oto przykłady:

W gromadzie Niziankowice trójkę zbożową zupełnie nie obchodził fakt, że bogacz Wilkowiecki prowadził sobie skup zboża na własną rękę, nie odstawiając jednak ani metra na punkt skupu. Rada Narodowa nie zwróciła uwagi na przewodniczącego gminnego zarządu ZSCh z gromady Jajczaki, Aleksandra Dolińskiego, który miast właśnie propagować planową akcję skupu, starał się rozbijać zebrania organizowane w tej sprawie. Nie zwrócono zupełnie uwagi na skład trójki zbożowej w gromadzie Jaroszówka. Mieli to być średniacy, a jak co do czego przyszło wkradli się do niej poplecznicy bogaczy. Nic więc dziwnego że w tych gromadach do tej pory nie osiągnięto więcej jak 25 proc. planu. Trzeba więc wzmóc czujność wobec wroga klasowego.

Tadeusz Szewera

Listy

LEOKADIA KOSINIAK

O kadrach artystycznych

Obecnie na łamach „Wsi" toczy się dyskusja o kadrach literackich. Przypominam, że „Wieś" czyta też młodzież ze szkół artystycznych i chce widzieć obok innej, problematykę szczególniej ją interesującą.

Sprawa kadr, tak, to ważne, ale nie tylko w literaturze, również jeśli nie więcej, — w sztuce. Wiem już cośkolwiek o realizmie socjalistycznym, który obejmuje wszystkie dziedziny kultury. Do jego rozwoju potrzebny jest klimat pracy, łączność z masami ludowymi. Kto może najłatwiej odnaleźć tę drogę w twórczości? Młodzież robotnicza i chłopska. Tymczasem w zakresie sztuk plastycznych dopływ tej młodzieży do odpowiednich szkół przed wojną był szczególnie nikły, a teraz jest jeszcze niewystarczający. Składa się na to wiele przyczyn. Jedną z ważniejszych jest niechęć rodziców do tego zawodu, który jest zwłaszcza dla chłopów, czymś nieuchwytnym, nie dającym w ich mniemaniu zapewnienia stałego zarobku. Zresztą nawet i w wypadku, gdy rodzice doceniają sztukę — jak u nas w Zalipiu— rzadko kiedy mogą coś pomóc, a jeśli dziecko dostanie parę tysięcy złotych stypendium myślą, że taki „burżuj" nie potrzebuje już pomocy.

Żeby jednak dostać się na Akademię Sztuk Plastycznych, trzeba wpierw ukończyć Liceum Sztuk Plastycznych — a tam w związku z brakiem uregulowania sprawy stypendiów, dopływ młodzieży chłopskiej jest b. mały. Mogę coś o tym powiedzieć, na podstawie spostrzeżeń z rodzinnej wioski Zalipie. Otóż Zalipie, ośrodek tradycyjnego malarstwa ludowego, w związku ze stanowczą polityką powstałego tam w zeszłym roku Klubu „Wsi Tworzącej" uczyniło formalny najazd na Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie. Pięcioro uzdolnionych młodych artystów ludowych zostało przyjętych. Dwoje otrzymało odrazu stypendium, S.L. z funduszu stypendialnego im. Nocznickiego zgłosiło bowiem dwa stypendia jako nagrody, dla wyróżnionych młodych artystów, uczestniczących w Wystawie Sztuk i Rękodzieła Ludowego. Curylówna i Stankówna podjęły również starania w NKWSL. — o innych możliwościach korzystania ze stypendium nie wiedziały — ale tym razem poszło gorzej. Podania S.L. przekazało, wraz z innymi do Departamentu Szkolnictwa Artystycznego Ministerstwa Kultury i Sztuki, który na nie. nie odpowiedział. Po kilku tygodniach wymienione uczennice, córki małorolnych gospodarzy, rozczarowane wróciły do domu. Jedynie Alojza Borkówna aż do półrocza przetrwała o własnych siłach. Głodno było i chłodno, trzeba było zdobyć pracę zarobkową gdziekolwiek, nauka w takich warunkach szła trudno, mieszczaneczki z politowaniem patrzyły na braki ubraniowe swej koleżanki. Ojciec, uparty chłop, działacz S.L. nie stracił zaufania w pomyślne załatwienie sprawy podania.

Jakoś, gdy tą sprawą zajęła się ob. Wąsikowa, znalazło się jeszcze dla niej stypendium z funduszu im. Nocznickiego; znalazło się, gdy dokładniej przejrzano listę stypendiów i dane o stanie majątkowym rodziców. Tym sposobem kol. Borkówna uczy się i nie wróci do chaty, by szukać chleba u kułaków czy paniuś w mieście. Jest ona bowiem córką posiadacza do dwu hektarów oraz siostrą sześciorga rodzeństwa, więc w chałupie brak dla niej miejsca.

ZSL., który tyle pomógł Zalipiu, nie może oczywiście, jako stronnictwo polityczne, prowadzić akcji stypendialnej w szerszym zakresie; do jakiej instytucji więc można się zwrócić?

Towarzystwo Burs i Stypendiów obarczone jest olbrzymim zapotrzebowaniem funduszów i młodzież ze szkół artystycznych stawia na marginesie. Departament szkolnictwa Artystycznego Min. Kultury i Sztuki, który winien uregulować tę sprawę, jak wykazuje doświadczenie, nie pozbył się jeszcze całkowicie biurokratyzacji i nie stawia w wystarczającej mierze zagadnienia pomocy dla utalentowanej młodzieży — klasowo.

W dziedzinie muzyki duże nadzieje były związane z Funduszem Stypendialnym im. Chopina, ale uczniowie szkół plastycznych wyjątkowo tylko z tego funduszu mogli dotychczas korzystać W każdym bądź razie udałoby się i dla nich w wymienionych instytucjach odszukać większe możliwości niż dotąd, gdyby talenty ludowe miały wyraźną, zorganizowaną opiekę.

Oto do czego zmierzam. stworzyć należy jakiś ośrodek opieki nad młodzieżą szkół artystycznych. Mógłby on radzić i pomagać. Koniecznie jest on potrzebny. Jak dobrze byłoby gdyby przy nim była jakaś izba noclegowa, gdzieby interesanci, albo i młodzież oczekująca na przydział pomieszczenia w Domu Akademickim miała schronienie. I kluby w terenie też są potrzebne. Za ich pośrednictwem praca ośrodka poszłaby sprawnie i służyła najbiedniejszym talentom w najdalszych wsiach.

Jeśliby streścić to, co się uprzednio powiedziało, wynikałoby stąd, że:

1) Trzeba załatwić sprawę stypendiów dla młodzieży licealnych szkół artystycznych, by mogło korzystać z nich więcej ludowej młodzieży.

2) należy stworzyć Ośrodek Opieki nad tą młodzieżą, w łączności z klubami terenowymi, które należy zakładać właśnie tam, gdzie sztuka ludowa żyje i dostarczy kadr;

3) unikać zwłok w wypłacie stypendiów studenckich;

4) starać się zapewnić zdolnej a biednej młodzieży korzystanie ze wszystkich udogodnień, jakie daje demokracja, tj. stypendiów i pomieszczenia w Domach Akademickich. Na zakończenie chcę poruszyć jeszcze ważną sprawę. W większości szkół wyższych wprowadzono zbawienną myśl: skierowania absolwentów do zawodu, do pracy. U nas o tym się nie słyszy. A przecież i tu państwo ma zapotrzebowanie, Dobrze byłoby mieć pewność, że praca nasza będzie potrzebną, że „wolny zawód" nie oznacza jeszcze bezrobocia i „sobiepaństwa", że mniej wyrobione życiowo jednostki znajdą trwałe oparcie.

Leokadia Kosiniak

JAN JELONEK

Jak walczyliśmy z chorobą

Nieszczęście chciało, że zachorowałem, odezwały się stare dolegliwości płucne. Musiałem przerwać pracę. W tym nieszczęściu nie byłem zdany na siebie; poprzez możliwość kuracji na koszt państwa stoi przede mną perspektywa powrotu do czynnego życia.

Sanatorium czy szpital przeciwgruźliczy zdawałoby się ponura, odcięta wyspa, że tu ludzie tylko rozgryzający własną chorobę, że odwróceni od tego, co się dzieje poza murami lecznicy. Kiedyś miałem w ręku książkę (nie przypominam sobie autora), przedstawiającą zagraniczne sanatorium przeciwgruźlicze. Powieść oddawała klimat tego sanatorium, był to klimat rozkładu, autor pokazywał ludzi wpatrzonych w swoje „duchowe pępki", zewnętrzny świat przestał dla nich istnieć. W jakżeż innej sytuacji ja się znalazłem, gdy przedwojenny los przypomniał mi się nawrotem choroby. W szpitalu napotkałem ludzi, z którymi mogłem toczyć długie dyskusje, mogłem rozmawiać o dokonujących się przemianach, książkach, które te przemiany obrazują, o ludziach, którzy walczą o to, by chorzy powrócili do życia, by myśl o pięknie tego życia była dla nich duchowym lekiem przyśpieszającym proces zdrowienia. W szpitalu poznałem się z ob. Lechem — artystą z teatru katowickiego, Sorgałą — młodym tokarzem z huty „Batory" i Poradą — zamiłowanym muzykiem. Postanowiliśmy wspólnie rozruszać, ożywić „szpitalne towarzystwo". A więc ściągnąć kino objazdowe, stworzyć zespół amatorski. Była to nasza taktyka walki z chorobą.

Zaczęło się od filmu „O prawdziwym człowieku". Film ten pokazał nam postawę i moralność nowego człowieka, wzbudzając w nas wiarę w samych siebie. Chorzy uświadomili sobie, że ktoś myśli o nich nie tylko jako o chorych, ale i jako o ludziach — członkach wielkiego społeczeństwa realizującego gigantyczny plan 6-letni. Później przyszły dwa koncerty orkiestr poza szpitalnych. Nie było mowy o apatii u pacjentów, powiększony księgozbiór biblioteczny stawał się niewystarczający, a dyskusje ożyły i nabrały rumieńców. Wtedy przyszła kolej na nas.

Poszedł pierwszy wieczorek pod tytułem „Bigos przeciwgruźliczy", a następnie drugi „Galimatias śmiechu i humoru" i trzeci: „Przepalanka na wesoło".

Staraliśmy się w humorystycznej przyprawie podać treści popularnonaukowe i społeczne. Nie brakło i kupletów szpitalnych, w których słowa uznania dla jednych a krytyki dla innych przeplatały się wzajemnie.

Większość materiału dostarczał, odtwarzał i reżyserował kol. Lech Marian, konferensjerkę prowadził kol. Sorgała zaś Porada kierował orkiestrą.

Ponieważ szpital nie posiada sali teatralnej, ani nawet sceny przenośnej, przeto wieczorki odbywały się na dużych salach oddziałowych, a akcja sceniczna odgrywana była na maleńkim podeście, na którym dla 3 ludzi miejsca za mało. A widzów gromadziło się ponad półtorej setki i to wymagających.

Wieczorki przeplatane były czeskimi filmami, z których jednemu było na imię: „Awantura na wsi", a drugi się zwał „Nikt nic nie wie".

Teraz w trzecim miesiącu tej działalności przyszła kolej i na zastrzyk wiadomości naukowych. Od myśli do czynów w naszej gromadce nie daleko, tymbardziej, że do żywej współpracy z nami przystąpiła nie znająca odpoczynku pani doktór Lewy.

To też w dniu 12 października daliśmy czwarty wieczorek p. t. „Pół serio — pół żartem".

Wypełniona po brzegi sala oddziału 3-go mieszcząca około 200 pacjentów, oraz personel, z pełną uwagą i zainteresowaniem słuchała pierwszej części programu. Wspaniale przez p. dr. Lewy opracowany reportaż prasowy, odtworzony przy współudziale kol. Lecha, przewijał przed słuchaczami istotę choroby, powody jej powstawania oraz sposoby i możliwości leczenia. W zakończeniu jego słuchacze dowiedzieli się, że w 6-letnim planie walka z gruźlicą sprawi iż ta klęska społeczna zmniejszy się poważnie.

Co raz większa grupa ludzi z naszego szpitala zatracała samopoczucie wycofanych z życia. Wiązaliśmy się z sobą na jakiejś nowej zasadzie. Odczuwaliśmy potrzebę już nie jakiegoś samarytańskiego samopocieszenia, ale mocnego utwierdzenia się nawzajem, że człowiek jest zdolny zapanować nad chorobą zwłaszcza wtedy, gdy ma wiadomość, że w nowym socjalistycznym społeczeństwie jest wartością, przy każdym warsztacie pracy — na którą to społeczeństwo ma prawo liczyć. Tę wiarę i tę świadomość tak pięknie w nas utwierdzała powieść radziecka, tę wiarę krzepiły w nas nowe o pracy i socjalizmie wiersze Broniewskiego. Coś w nas przybyło, co pozwala zmienić i klimat szpitala — mocna wiara w nowe życie wiąże nas walką o zdrowie, które przecież należy do społeczeństwa. To skraca proces naszego zdrowienia — myśl, że na ozdrowieńców czekają szkoły, fabryki i pracownie naukowe, czeka całe nowe życie pracy i sprawiedliwej walki. Na mnie praca działacza społecznego na wsi.

Jan Jelonek

Gospodarcze pole walki

Państwowa Komisja Planowania Gospodarczego ogłosiła komunikat o wykonaniu Narodowego Planu Gospodarczego w III kwartale 1950 r. Trzy kwartały pierwszego roku Planu 6-letniego! z jego nowymi, wyższymi normami. Od stycznia do września plan produkcji przemysłowej został wykonany w 105 proc., t.zn. osiągnięto 78 proc. planu na r. 1950. Wartość produkcji w górnictwie, przemyśle ciężkim, lekkim i rolno-spożywczym wzrosła o 18 proc. w porównaniu do III kwartału r. 1949. Wydajność pracy (już w II kwartale) na jednego robotnika zatrudnionego w tych czterech gałęziach państwowego przemysłu wzrosła o 12 proc. Budownictwo choć nie osiągnęło pełnego planu przekracza w tych trzech kwartałach o jedną trzecią całoroczną produkcję budowlaną r. 1949.

W rolnictwie zbiory czterech zbóż były o 3 proc. większe niż w roku ubiegłym, w hodowli pogłowia o 15 proc., w trzodzie chlewnej o 33 proc. W r.b. po raz pierwszy rozpoczęto kontraktację nasiennych: pszenicy, żyta, jęczmienia i wyki i wykonano już ponad 100 proc. planu rocznego. W kontraktacji trzody chlewnej osiągnięto 134 proc. planu rocznego co się równa 253 proc. w porównaniu z r. ub. Obroty detaliczne uspołecznionego aparatu handlowego przekroczyły o 70 proc. poziom III kwartału 1949 r. (plan wykonany w 109 proc.). Skup artykułów rolnych przez aparat uspołeczniony wzrósł: pszenicy o 62 proc., trzody chlewnej o 110 proc., bydła rogatego 76 proc., mleka o 38 proc. Roczny plan skupu w zakresie trzody chlewnej cieląt i jaj został już wykonany.

Komunikat napawać może masy pracujące: robotników i chłopów zasłużoną dumą i wiarą w przyszłość. Nasi korespondenci z terenu odczytają ten komunikat, przeżywając zapewne dwa sprzeczne uczucia. Jedno — radości. Tośmy na wsi tyle osiągnęli? Nie najgorzej. A drugie uczucie — zawziętości. Przecież korespondenci widzą jak praca chłopska jest chaotyczna, nieekonomiczna, zacofana. Ileż to możnaby z niej jeszcze wykrzesać walcząc o najprostsze formy zaplanowania zbiorowego, pomocy zbiorowej, kontroli społecznej.

Dlatego ten komunikat, który mówi przecież o chłopskim marszu naprzód w produkcji, winien skierować uwagę korespondentów na wiejskich przodowników pracy, racjonalizatorów, organizatorów grup produkcyjnych i nowych metod upraw, na wpływ PGR-ów, POM-ów, Szkół Rolniczych, agronomów. Trzeba z całą siłą wydobywać to nowe, co pomaga rość produkcji, co ją podwaja, wydobywać i ukazywać tych, którzy potrafili udoskonalić wydajność, którzy potrafili wpłynąć na upowszechnienie nowych sposobów i nowych norm. Trzeba wydobywać i pokazywać całe wsie, czy w nich grupy, które stosują nowe formy organizacji współpracy w produkcji.

I trzeba równocześnie ukazywać zacofanie, marazm i marnotrawstwo. Trzeba szukać źródeł tego stanu i sposobów na zwalczenie, na przeobrażenie. Pisaliśmy już nie raz, że korespondenci nie tylko informują — oni walczą. Oto gospodarcze pole walki. Zdobywajcie rady i rozwiązania. Trzeba iść po tej drodze wzrostu i postępu, jaką ukazuje 2,5 raza większa kontraktacja trzody chlewnej w tym roku, 100 proc. kontraktacja po raz pierwszy nasiennych roślin, skup pszenicy, bydła, trzody chlewsej, jaj, mleka od 40 do 100 proc. powiększony. I trzeba tę drogę odsłaniać, odkrywać, poszerzać i umacniać.

P. Ch.

Kampania świetlicowa

Kończy się październik, jesień u schyłku. Na wsiach zaczyna się „sezon" świetlicowy. Bardzośmy ciekawi jak go zaplanowano, kto planował, kogo objęto planem, kogo i w czem będą tej zimy zdobywać świetlice? Przecież to piąta zima nadchodzi w Polsce Ludowej. Kończy się pierwszy rok Planu 6-letniego, i podsiew pierwszych dwóch tysięcy spółdzielni produkcyjnych.

Wiemy, że z niejednej wsi odpowiedzą nam: po 1, nie mamy lokalu świetlicowego, po 2) nie mamy wyszkolonego i płatnego kierownika.

Odpowiadamy to źle, ale to jeszcze nie katastrofa. W tym roku nie może, nie powinna żadna wieś „przespać" zimy. Tak stoi zadanie. Trzeba tej zimy myśleć, mocno, często, bez przerwy. Nie w chałupie na przypiecku i nie po sąsiedzku tylko w trzy głowy. Zbiorowo, gromadnie, bo Plan 6-letni stawia przed wsią plany zbiorowe, bo pierwsze 2.000 spółdzielni każą myśleć każdej gromadzie wiejskiej o jej przyszłości.

Pocóż się wykręcać brakiem specjalnego lokalu świetlicy, brakiem kierownika. Zastępczy lokal znajdziecie, wasza w tem głowa. A kierownik? Jest ich prawie na każdej wsi po kilku. To nie żart. Po pięciu latach jest: nauczyciel, członkowie zarządu spółdzielni Z.S.Ch., członkowie PZPR, ZSL, ZMP, SP, uczniowie liceów korespondencyjnych, uczniowie w szkołach średnich, agronom, robotnicy w ośrodku maszynowym, szkoła rolnicza, w okolicy spółdzielnie produkcyjne, PGR, Rada Gminna. Nie wszyscy i nie wszystko równocześnie. Ale cóś z tego jest. A to, co jest i co może przybyć to są te główne siły do organizowania zbiorowych pogadanek i dyskusji w okresie zimowym. I nie trzeba oglądać się na kierownika świetlicy, kiedy go nie ma. A nawet wówczas, kiedy jest. Każda organizacja, każda instytucja, każdy działacz i uczeń winien się poczuwać do odpowiedzialności za rozruszanie życia umysłowego wsi. Jeśli jest świetlica i kierownik trzeba wnieść swój plan na jego ręce, uzgodnić i występować.

Sprawę Central instytucji, organizacyj i partii byłoby przygotować materiały pomocnicze i programy aby działacze terenowi w tych ostatnich ogniwach — gromadach — mogli intensywnie i skutecznie rozwinąć kampanię świetlicową.

Na ostatniej Radzie Naczelnej ZMP wysunięto potrzebę akcji łączności robotniczych kół ZMP z wiejskimi. Pilny jest plan i realizacja tej transmisji. Wprzęgnąć w nią można młodzież licealną i akademicką (co najmniej pochodzenia chłopskiego) w okresie ferii zimowych. Trzeba tylko zaplanować. Specjalnej opiece poddanych zostało kilkaset tysięcy b. analfabetów po przez koła czytelnicze, tak też powinno zostać wzmożone życie świetlicowe w spółdzielniach produkcyjnych, na PGR. W przyszłym roku stałyby się one mocnymi ośrodkami promieniowania ideologicznego na okolicy. To byliby swoi, przodownicy, prelegenci na wsiach jeszcze nie zrzeszonych.

Naszych korespondentów prosimy o relacje z tego pola walki i z własnego w tej walce świetlicowej udziału.

P. Ch.

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KROL.
Redaguje Komitet.
Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr 7.
Prenumerata i Kolportaż: P. P. K. „Ruch", Oddział w Warszawie, ulica Srebrna 12, tel. 804-20 do 25.
Tel. Red. Nacz. 727-86 Tel. Redakcji 751-80 do 84 wewnętrzny 23 i 97
Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. - OŚW. „C Z Y T E L N I K"
REDAKCJA NIE ZAMÓWIONYCH RĘKOPISÓW NIE ZWRACA.
Wpłat na prenumeratę można dokonywać Plac 3 Krzyży 16, Chmielna 25.
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 100,—zł.; kwartalnie 300,—zł.; półrocznie 600,—zł.; rocznie 960.— zł Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa VII—1080/110 z zaznaczeniem „za tyg. „Wieś".
Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd.-Ośw. „Czytelnik" Marszałkowska 3/5
B-129378